ROK XIII NR 2 (563) LONDYN, LUTY 1959 R. CENA 3/-

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LORD PAKENHAM — KATOLICY A MORALNOŚĆ ŚWIECKA ▪ ZOFIA MONTANA — SIMONE WEIL ▪ OD GOŚCIA Z KRAJU ▪ F. W. BEDNARSKI O.P. — ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA MŁODZIEŻ Z KRAJU ▪ J. MICHALSKI — PISARZE I PARTIA ▪ KS. W. URBAN — KOŚCIÓŁ NA ZIEMIACH ZACHODNICH ▪ BEATA OBERTYŃSKA — WIERSZE ▪ DR E. POMORSKI — OD SOWIZDRZAŁA DO SIENKIEWICZA ▪ ANDRZEJ MALKIEWICZ — WYJAZDY DO KRAJU I ZGORSZENIE MALUCZKICH

SPRAWY I LUDZIE

Zapowiedź rychłego zwołania **SOBORU POWSZECHNEGO**, dokonana przez Ojca św. na zakończenie „oktawy jedności", poruszyła głęboko dusze i serca.

Sobór ma być przede wszystkim **poświęcony sprawie zjednoczenia wyznań chrześcijańskich**, „tak powszechnie upragnionej".

Jan XXIII szeroko otwiera ramiona, wielbiąc „wolność... najcenniejszy dar Odkupiciela ludzkości... pierwsze następstwo jedności", wyrażając „wewnętrzny ból duszy" i „wielki smutek serca" wobec „prześladowań na wielkich i dalekich, ale bliskich naszej świadomości, obszarach Europy i Azji"...

✱

W sprawie **PLACÓWKI POLSKIEJ I LITEWSKIEJ PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ** miarodajne wyjaśnienie nastąpiło w znanym komunikacie „Osservatore Romano" (5-6.1.59): „...Cała sprawa musi być sprowadzona do swego prawdziwego i właściwego zakresu; nie ma ona charakteru „politycznego", lecz całkowicie techniczno-prawny..." W serwisie informacyjnym Ambasady R.P. przy Watykanie czytamy: „...komunikat stwierdza, że ponieważ Ambasador Polski i Poseł Litewski nie mogą złożyć listów wierzytelnych... nie mogą oni być uznani w swoich dotychczasowych funkcjach. Dalej jednak komunikat podkreśla, iż „mówiono, że Stolica św. miała zamknąć te dwa przedstawicielstwa dyplomatyczne: nie mówiąc o innych względach, należy zauważyć, iż Stolica św. nie miałaby kompetencji by to uczynić. **Istnieją więc one nadal..." ...Zmieniają się tylko tytuły szefów..."**

Komunikat „Osservatore Romano" przypomina niezmienną „życzliwość (Stolicy Apostolskiej) ...w stosunku do tych dwu narodów, które dla świata katolickiego stanowią nie tylko przedmiot braterskiej troskliwości, ale także symbol dumy i powód do nadziei. Nie nastąpiła, w szczególności, żadna zmiana w stosunku Stolicy św. do Litwy, która padła ofiarą gwałtu, nad czym Stolica św. nie przestaje najżywiej ubolewać..."

Istota rzeczy — dla katolików polskich — polega, jak polegała, na usługach, które polska placówka przy Watykanie oddawać powinna sprawie Kościoła w Polsce, jako organicznej cząstce Kościoła Powszechnego, oraz usprawiedliwionym prawom i interesom narodu polskiego.

✱

„PAX" wystąpił na terenie brytyjskim z niefortunną prośbą usprawiedliwienia się z zarzutu „piractwa", jaki postawił londyński „The Tablet", wspominając losy „Tygodnika Powszechnego": vide list „załogi" paxowej w „Tablecie" z 24.1. oraz oświadczenia Turowicza i Myślika w „Tygodniku" z 25.1. br.

✱

ŻYCIE

SPIS TREŚCI

Sprawy i ludzie 2
KATOLICY A MORALNOŚĆ ŚWIECKA — lord Pakenham 3
SIMONE WEIL — Zofia Montana 5
DRUGIE OPOWIADANIE SOBOTNIE — Marietta Martin 7
OD GOŚCIA Z KRAJU 8
ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA MŁODZIEŻ Z KRAJU — O. F. W. Bednarski, O.P. 10
PISARZE I PARTIA — J. Michalski 13
KOŚCIÓŁ NA ZIEMIACH ZACHODNICH — Ks. W. Urban 14
WESTFALSKIE RODACTWO — St. Czechanowski 15
MADONNY PIRENEJSKIE — Ks. J. St. Pasierb 16
WIERSZE — Beata Obertyńska 18
OD SOWIZDRZAŁA DO SIENKIEWICZA — Dr. E. Pomorski 19
CONRAD NIEPEŁNY — H. S. P. 20
NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH — Z. Ławrynowicz i M. Paszkiewicz 21
Po łepkach: CZY ISTNIEJE LITERATURA NA EMIGRACJI — J. B.; Notatki — J. B. . 24
TEKI HISTORYCZNE 26
P.U.N.O. — Z. E. Wałaszewski 27
Nasze sprawy: CO WOLNO, A CZEGO NIE WOLNO — Polonus 28
Listy i uwagi: M. Dobriański; E. Gieratowa; M. M.; A. Malkiewicz 29

O. MARIAN PIROŻYŃSKI, Redemptorysta, aresztowany wiele miesięcy temu, oraz zespół „Homo Dei", stanęli przed sądem w Warszawie, oskarżeni o „przestępstwa" w związku z przepisami o cenzurze, kontroli wydawnictw, przydziale papieru itp. Proces może się przyczynić walnie do skompletowania.. aktu oskarżenia" czynników odpowiedzialnych za wszystkie środki dławiące w Polsce wolność przekonań, słowa i prasy oraz ograniczające swobody religijne. Oskarżany nieraz o fanatyzm, obskurantyzm i wstecznictwo, O. Pirożyński broni przed sądem „ludowym" wolności wykonywania swego zawodu, którym jest, wedle jego słów, „powołanie kapłańskie" i „głoszenie słowa Bożego".

✱

Akcję zebrania **8 MILIONÓW PODPISÓW** „zwyczajnych ludzi" pod protestem przeciwko niewykonaniu przez rząd NRF w Bonn zobowiązań odszkodowania kacetowców, — rozpoczęli: **Leonard CHESHIRE**, płk. lotn. bryt., kawaler V.C., D.S.O., D.F.C., apostoł opieki nad cierpiącymi i nieuleczalnie chorymi, oraz **Sue RYDER**, działaczka społeczna. Celem akcji — **zmuszenie Niemiec do wypłaty odszkodowań.**

Teksty protestu dla zbierania podpisów można dostać pod adresem: **THE RYDER CHESHIRE FOUNDATION FOR THE RELIEF OF SUFFERING**, Protest Secretary, **7, Market Mews, London, W.1.**

✱

Dochodzą pogłoski, do sprawdzenia niemożliwe, iż Sowiety byłyby skłonne rozważać — w wypadku rokowań o zjednoczenie Niemiec — **ewentualność przyłączenia do Rzeszy Szczecina...!** Najlepszą przysługą dla sprawy pokoju i przyszłego ładu europejskiego jest wykazywanie niedopuszczalności i niedorzeczności podobnie krótkowzrocznych intryg, wyciąganych z lamusa imperialistycznej dyplomacji. Intrygi te wykazują natomiast jak żywa politycznie jest sprawa stosunków polsko-niemieckich.

Tym bardziej warto podkreślić znaczenie wymiany zdań w sprawie **granicy na Odrze-Nysie** na łamach londyńskiego „Daily Telegraph". Spowodował ją list (19.1.59) red. **A. Bregmana**, prezesa Związku Dziennikarzy, wykazujący powody, dla których mocarstwa zachodnie powinny pośpieszyć z uznaniem formalnym tej granicy.

W dyskusji stanął po stronie polskiej ruchliwy parlamentarzysta brytyjski **lord St. Oswald, sekretarz Komisji Europy Środk.-Wschodniej Ruchu Europejskiego.** W obszernym liście (26.1.59) pisał m.in.: „...Rozczulanie się nad Niemcami, jako nad wyłącznymi czy nawet głównymi ofiarami zmian terytorialnych, jest szydzeniem z historii, z tego okresu historii, który jest jeszcze cząstką naszego własnego życia. Traktowanie Polaków jako wrogów, po prostu dlatego, że możemy teraz uważać Niemców za naszych sprzymierzeńców, jest gorsze od szyderstwa.

Opinia, jakoby objęcie przez Polskę i usunięcie Niemców z tego obszaru (Ziem Zachodnich) stało w sprzeczności z art. II Karty Atlantyckiej, jest całkowicie błędna. Winston Churchill oświadczył w Izbie Gmin w lutym 1944 r.: „Nie ma mowy, by Karta Atlantycka odnosiła się z mocy samego prawa do Niemiec i zakazywała przesunięć czy poprawek terytorialnych w odniesieniu do państw nieprzyjacielskich."

Te przesunięcia nastąpiły — być może nawet gdzieniegdzie w przesadnym zakresie — ale stały się dzisiaj rzeczywistością europejską. Usiłowanie przekreślenia tych przesunięć obecnie byłoby naruszeniem Karty Atlantyckiej. Na tym niegdyś niemieckim obszarze żyje teraz około 8 milionów ludzi, z których mniej niż 1 milion to b. obywatele niemieccy, a wśród tych ostatnich zaledwie 100.000 jest rasowo pochodzenia niemieckiego.

Ustalanie tych faktów nie jest bynajmniej wystąpieniem anty-niemieckim. Gdy zbiorą się na odwagę, niemieccy mężowie stanu sami przyznają, że w tej sprawie emocje przeciwstawiają się zdrowemu rozsądkowi. Herr v. Brentano mówił trzy lata temu w Londynie o tym jak niebezpieczne jest podtrzymywanie „raczej wątpliwych praw" niemieckich do tych ziem. Niebezpieczeństwo to dotyczy Niemiec, ale także i całej Europy; podsycanie niemieckich roszczeń — to podsycanie dawnej nieufności i nienawiści, jakie w stosunku do Niemiec żywili ich sąsiedzi przez tak długi czas, a co Niemcy same starają się teraz usuwać.

Uznanie tak jasno dziś ustalonej granicy jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Natomiast usiłowania, by przywrócić panowanie niemieckie na obszarze obecnie zamieszkałym niemal wyłącznie przez Polaków, byłyby niegodziwością, zwłaszcza w odniesieniu do narodu, któremu tyle zawdzięczamy, i wywołałoby w tym narodzie namiętne oburzenie...

Jeżeli chodzi o natychmiastową korzyść, pomaganie przyjacielowi, który przegrał, rzadko kiedy jest zaraz opłacalne. Jest to jednak zawsze niemal dowodem dalekowzrocznego rozsądku..."

Lord St. Oswald występował niedawno (18.12 58) w debacie nad sytuacją międzynarodową w Izbie Lordów. Jego ciekawe i śmiałe przemówienie zawierało ostrą krytykę nieładu politycznego wśród państw zachodnich. Piętnował egoistyczny i wsteczny rewizjonizm NRF, wykazując związek przyczynowy tej polityki z nieuznawaniem przez Zachód granicy na Odrze i Nysie. „...Oto sprawa (granicy), która jednoczy wszystkich Polaków: komunistów i przeciwników komunizmu, Kościół i rząd, uchodźców i reżym..." Przeprowadziwszy szczegółową analizę argumentów politycznych, demograficznych i geopolitycznych, przemawiających za ostatecznym uznaniem granicy, apelował do „Nowych Niemiec", by „przez wyrzeczenie się swych roszczeń (obecnie ani uzasadnionych ani w rzeczywistości tak powszechnie przez społeczeństwo podtrzymywanych)... przyczyniły się walnie do stabilizacji odbudowy zaufania w Europie". Równocześnie przestrzegał, że „rzetelność Zachodu jest sądzona przez ludy Europy Środk.-wschodniej, opanowane przez komunizm, przede wszystkim na podstawie naszego postępowania wobec Polski..., w stosunku do tragicznego położenia której ponosimy przynajmniej częściowo odpowiedzialność..."

✱

ROSZCZENIA WOBEC NIEMIEC

Warto przypomnieć, że staraniem Polskiego Związku b. Niemieckich Więźniów Politycznych (Polish Association of ex-German Political Prisoners, c/o SPK, 18 Queens Gate Terrace, London, S. W. 7) została wydana w języku angielskim broszura **mec. M. H. Chmielewskiego pt. The Problem of Compensation for Victims of National Persecution"** (odbitka „Polish Affairs"). Daje ona rzeczowy i udokumentowany wykład doniosłej sprawy roszczeń i uwydatnia odpowiedzialność rządu niemieckiego.

Autor w odczycie zorganizowanym przez Stowarzyszenie Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie informował opinię o podstawach prawnych roszczeń jenieckich. Sprawa rewindykacji należności b. żołnierzy polskich, którzy przebywali w niewoli niemieckiej, interesuje nie tylko b. jeńców, ale i ogół społeczności polskiej. Zagadnienie to jest nie tylko sporem prawnym, ale kwestią o znaczeniu moralno-politycznym.

Wstępem do rozważań jest analiza konwencji haskiej i genewskiej, wykazująca jak Niemcy hitlerowskie lekceważyły zobowiązania międzynarodowe. Świadome łamanie przepisów obu konwencji dotyczyło zarówno oficerów, jak podoficerów i szeregowców.

Mec. Chmielewski krytykuje ostro stanowisko zajmowane przez rząd Niemieckiej Republiki Federalnej, wzbraniający się przed wypłaceniem b. jeńcom należnych im kwot. Spośród argumentów, na jakich opiera się wywód prawny — dwa zasługują na specjalne podkreślenie. Po pierwsze — roszczenia jenieckie, nie mając charakteru reparacji wojennych — nie mogą podpadać pod postanowienia układu londyńskiego, po drugie — w świetle poglądów reprezentowanych przez coraz to większą ilość uznanych powag w zakresie prawa międzynarodowego — nie da się utrzymać stanowisko, iż roszczenia z tytułu należności jenieckich zgłaszać może jedynie państwo. Punkt widzenia, że poszczególni jeńcy dochodzić mogą swych pretensji jest specjalnie mocny i logiczny w stosunku do tych uchodźców politycznych, którzy nie uznają władz państwowych w swoim kraju.

(Dokończenie na str. 4)

LORD PAKENHAM

KATOLICY A MORALNOŚĆ ŚWIECKA

Lepszy świat bez religii?

Niewiele jest rzeczy tak trudnych, jak często podejmowany wysiłek odpowiedzi na pytanie: czy moralność społeczna jest wyższa w danym okresie niż w innym. Sami jesteśmy skłonni, w miarę jak się starzejemy, do twierdzenia, że standardy moralności podupadły od czasu naszej młodości. A przywódcy religijni, jeżeli wolno mi to powiedzieć z całym szacunkiem, nie są bynajmniej odporni wobec tej pokusy.

Jesteśmy wszyscy głęboko zatroskani wzrostem przestępczości, która po wojnie osiągnęła swój szczyt w r. 1951. Wtedy zaczęła opadać i wydawało się przez jakiś czas, że najgorsze minęło. Ale w r. 1956 zaczęła wzrastać znowu i r. 1957 pobiła smutny rekord. W końcu r. 1955 cyfra wychowanków w Borstalach (domy poprawcze) wynosiła 2.500, mniej więcej tyle ile przed wojną. W r. 1958 osiągnęła 4.000, wzrost ponad 60% w ciągu trzech lat.

PRZYCZYNY I SKUTKI

Istnieje pokusa uproszczonego spojrzenia na ten problem: oto wierzenia i praktyka religijna osłabły w ostatnich latach i w związku z tym łańcuch przyczynowy rysuje się jasno: upadek życia religijnego to upadek moralności, to wzrost przestępczości.

Nie jestem całkowicie przekonany, by rzeczy przedstawiały się tak prosto. Jak pisałem w mojej książce „The Causes of Crime" („Przyczyny przestępczości"), nie wydaje mi się, by Anglia była dzisiaj krajem mniej religijnym niż przed dwudziestu laty. Jestem np. niemal zupełnie pewien, że dzisiaj na uniwersytetach panuje daleko przychylniejsze nastawienie w stosunku do religii niż w latach dwudziestych kiedy sam byłem studentem. A dalej, nie godzę się z tym, byśmy mieli być moralnie gorsi niż byliśmy. Może tak, może nie: ale nikt nie ma przekonywujących dowodów na poparcie jednego lub drugiego twierdzenia.

Niedawno byłem obecny przy wręczeniu „nagród honorowych", ufundowanych przez „Daily Mirror". Dawano je skromnym ludziom, wybranym przez współobywateli za postępowanie, które bym nazwał praktycznym realizowaniem chrześcijaństwa: altruizm w warsztacie pracy, w szpitalu, w życiu domowym. Nikt nie mógł wyjść stamtąd bez odnowionej wiary w instynkt moralny bardzo zwyczajnych prostych ludzi — mężczyzn i kobiet.

„GDZIE SKARB TWÓJ..."

A jednak nie możemy uciec od tych statystyk przestępczości i wszyscy musimy boleć, gdy o nich myślimy. Przecież zniknęło tyle materialnych bolączek słusznie uważanych za przeszkody do życia moralnego.

Byłem osobistym współpracownikiem Sir William'a Beveridge'a, gdy opracowywał w czasie wojny swój „Beveridge Raport" (Plan Beveridge'a), który się walnie przyczynił do zbudowania „Welfare State" (ustroju opiekuńczego państwa) w jego powojennej postaci. Uważałem wówczas, po zasięgnięciu miarodajnej opinii urzędowej, że mam pełne prawo przemierzać kraj, głosząc, iż przynoszenie ulgi w cierpieniach bliźnich — według mnie szczytowy cel Planu Beveridge'a — jest przemożnym obowiązkiem chrześcijańskim. Nadal uważam, że był to najsłuszniejszy argument za popieraniem planu.

Tymczasem, teraz, gdy korzystamy z dobrodziejstw „Welfare State" od lat, łatwo jest krytykować system i dawać wyraz rozczarowaniu, tak jak zawsze łatwo jest być rozczarowanym każdym ludzkim osiągnięciem i je krytykować. Można oczywiście dyskutować, na płaszczyźnie politycznej, że plan nie sięga dość daleko w ulżeniu ludzkiej niedoli albo że idzie za daleko — chociaż nie jestem tego zdania — w hamowaniu inicjatywy i odpowiedzialności. Na pewno nie twierdzę, że „Welfare State" — „opiekuńcze państwo" —



Autor artykułu, danego przezeń dla ŻYCIA (opartego na treści przemówienia do zjazdu Catholic Truth Society w Motherwell, 16.11.58, ogłoszonego w „Catholic Herald", 28.11.58) jest katolikiem-konwertytą, ojcem licznej rodziny (8 dzieci), społecznikiem-fachowcem, politykiem-naukowcem, pisarzem i dziennikarzem, politykiem, bankierem. Zasadnicze przesłanki jego ostatnich wystąpień to analiza z punktu widzenia chrześcijańskiego wpływu „Welfare State" na społeczeństwo i wychowanie człowieka.

Francis Aungier Pakenham (The Rt. Hon. Lord Pakenham, P.C., J.P.), ur. 5.12.1905, syn lorda Longford'a, jest z pochodzenia Irlandczykiem; kształcił się w Eton i Oxford (z odznaczeniem); był wykładowcą nauk politycznych w Christ Church College w Oxfordzie; działalność polityczną zaczął w partii konserwatywnej, ale przeszedł do Labour Party; nawrócił się na katolicyzm w r. 1940; był współpracownikiem Sir William'a Beveridge'a w przygotowaniu słynnego Planu Beveridge'a (1941-44); wszedł do Izby Lordów (1945); był parlamentarnym podsekretarzem stanu Min. Wojny (1946-47), ministrem lotnictwa cywilnego (1948-51), I lordem Admiralicji (1951); od r. 1955 jest prezesem National Bank w W. Brytanii i Irlandii (znana jest wydajna współpraca tego banku z licznymi kołami polskimi, zwłaszcza za pośrednictwem jego oddziału Bayswater, gdzie mamy oddanych przyjaciół w osobach dyr. W. G. Costello, odzn. Zł. Krzyżem Zasługi, i kier. działu polskiego, S. Kaczmarczyka).

Lord Pakenham jest autorem książek: „Peace by Ordeal" (1935), „Born to Believe" (1953) i „Causes of Crime" (1958); pisze często artykuły i występuje w radio.

Ten chrześcijański polityk pisał w artykule „Christian Challenge in Society" (Observer, 21.12.58): „Państwo to my, indywidualni obywatele, i nasze osiągnięcia społeczne albo nasze zaniechania będą decydować czy kraj nasz pójdzie za swoim chrześcijańskim powołaniem." RED.

uczyniło nas gorszymi. Ale twierdzę, że powinno było uczynić nas lepszymi, bo przecież usunęło tyle okazji do grzechu. Jednak nie ma niezbitych dowodów, by uczyniło nas lepszymi. A skoro tak jest to — moim zdaniem — przyczyna jest oczywista i wskazana w ewangelicznym powiedzeniu: „Gdzie skarb twój, tam i serce twoje...“

POGOŃ ZA SZCZĘŚCIEM

Mamy na pewno słuszność, gdy jako chrześcijanie i katolicy staramy się o rozwój materialny, by tą drogą przyczynić się do wzrostu ludzkiej szczęśliwości, i gdy wierzymy, że nasze szczęście w tym życiu jest miłe Bogu.

Ale bylibyśmy w błędzie, w błędzie fatalnym, jeżeli by pogoń za szczęściem doczesnym, czy dla nas samych czy dla innych, czyniła nas ślepymi wobec nieskończenie ważniejszego dążenia do szczęścia wiecznego; jeżeli byśmy ratowali nasze życie tutaj, by je stracić w świecie przyszłym; jeżeli byśmy zezwolili, aby humanitaryzm zastąpił dążenia do realizacji duchowych przeznaczeń człowieka. My świeccy członkowie Kościoła robimy dobrze i postępujemy zgodnie ze wskazaniami hierarchii, gdy poświęcamy czas i wysiłek myśli na studiowanie i głoszenie katolickich zasad społecznych i politycznych.

Słyszeliśmy znowu niedawno o moralności bez religii. Nie ma oczywiście nic nowego w tych wskazaniach. Autorka książki pt. „Morals without religion“ („Moralność bez religii“), Mrs. Knight, której szczerości intencji nie kwestionuję, głosi, w każdym razie w swoich ostatnich wystąpieniach radiowych (nie znam, oczywiście, całej jej działalności), zasady kodeksu moralnego, który najoczywiściej zawdzięcza bardzo wiele dwutysiącleciu chrześcijaństwa. Pomimo niektórych „psychologicznych“ upiększeń ten kodeks nie jest sam w sobie nie-chrześcijański, aczkolwiek jest zimny i bardzo ograniczony i bardzo płytki, gdy go porównać do chrześcijańskiej moralności Ewangelii czy też Żywotów Świętych. W każdym razie nie głosi ona niemoralności w obyczajach (np. w obyczajowości seksualnej), jak to uporczywie czynią różni agnostycy i ateusze Nie głosi również tego rodzaju sceptycyzmu, który wypływa nieuniknienie z niektórych kierunków logicznej pozytywistycznej filozofii, ciągle jeszcze modnej, chociaż już mniej niż dawniej.

W logicznym pozytywizmie, w każdym razie w rozumieniu szerokiej publiczności, wszystkie moralne sądy są zredukowane do takich czy innych „wykrzykników“, t.zn. nie mają one żadnej wagi same przez się.

Gdyby świat mógł być rządzony według wskazań Mrs. Knight, nie byłby to tak bardzo zły światek, aczkolwiek otwierałby przed ludzkością perspektywy przeraźliwej nudy podczas gdy przyszłość pełna chwały została nam obiecana jako dzieciom Bożym. Jakiekolwiek mogą być — na papierze — teoretyczne zalety etyki zalecanej przez Mrs. Knight, to jednak suma ludzkich doświadczeń prowadzić musi do odrzucenia prawdopodobieństwa, aby w praktyce ta etyka miała się okazać skuteczna jako siła moralna.

SERCE TEOLOGII

Mrs. Knight dedykowała swoją książkę lordowi Russell'owi. Nie chciałbym twierdzić, że zbliżył się on świadomie do chrześcijaństwa w ostatnich latach.

Nie tak dawno lord Russel ogłosił zbiór esejów, pisanych na przestrzeni wielu lat, pod tytułem „Why I am not a Christian“ („Dlaczego nie jestem chrześcijaninem“). Ale ci, którzy studiowali z natężonym zainteresowaniem dzieła tego świetnego, tragicznie błądzącego przeciwnika religii, nabrali nowej nadziei co do jego osoby, gdy przeczytali jego artykuł w „Sunday Times“ z 10.11.57 p.t. „Can scientific man survive?“ „Czy człowiek „scjentyczny“ może się ostać?“).

W świetle bomby wodorowej i wszystkiego co ona niesie, lord Russell żąda „moralności nowej, jedynie w tym sensie, że będzie przestrzegana“. (Chce na pewno przez to powiedzieć, że będzie przestrzegana — po raz pierwszy). „Jako ideał nie jest ona nowa, lecz bardzo stara. Przez niezliczone wieki głosili ją mędrcy i religijni przywódcy, których wielce czczono, przeważnie dopiero po ich uśmierceniu“.

Większość z nas już się nauczyła, że nie można rozdzielać etycznej nauki Chrystusa od Jego nauki o Nim samym, i to nas wprowadza prosto w samo serce chrześcijańskiej teologii. A zresztą, po prostu nie można oświadczyć, że się uznaje drugie przykazanie: „Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego“, a równocześnie odrzucać przykazanie pierwsze: „Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego, z całej duszy twojej, z całego umysłu twego i wszystkich sił twoich“.

CZŁONKI JEDNEGO CIAŁA

Kościół katolicki zawsze chyba będzie sądzony na podstawie tego jak postępują katolicy. Osobiście wyrażam wdzięczność za nieocenioną pomoc, czasem niesioną świadomie a kiedy indziej nieświadomie, jaką był dla mnie żywy przykład, gdy dwadzieścia lat temu zostałem pociągnęty ku Kościołowi. Naturalnie, nie zapominam o wpływie modlitwy, chociaż byłem tego bardziej świadomy w odniesieniu do mojej żony i dzieci, niż w odniesieniu do mnie samego.

Jesteśmy obserwowani i słuszne jest, że powinniśmy być bardzo bacznie obserwowani przez bliźnich, którzy chcą się przekonać czy nasza etyka jest lepsza nie tylko na papierze, ale i w zwyczajnym życiu, a zwłaszcza wobec tych bliźniaczych chwil próby: tryumfu i klęski. Czy jesteśmy w naszej praktyce pokorniejsi, mniej samolubni, chętniej przebaczający niż ci, którzy nie posiadają naszych duchowych przywilejów? Któż to może osądzić? Na pewno nie my sami.

Ale co najmniej dwie rzeczy są pewne. Po pierwsze: nie dokonamy postępu w propagowaniu i w praktyce zasad katolickich, jeżeli nie zdamy sobie sprawy, że bez najpełniejszego udziału w katolickim życiu religijnym i sakramentalnym — walczymy w bitwie Bożej mając prawą rękę obezwładnioną. Wtedy musimy oczekiwać tylko przegranej. Po drugie: nie jesteśmy — po tysiąckroć nie! — „jednostkami“: odosobnionymi katolikami. Jesteśmy członkami jednego Mistycznego Ciała i nie ma granic w zakresie pomocy, której udzielanie wzajemne powinno być naszym pragnieniem. Nie ma granic w tym, cośmy powinni z radością wzajemnie przyjmować, wiedząc, że gdzie katolickie braterstwo jest rzeczywistością, tam nie ma dawania i brania: jesteśmy wszyscy wzajemnie jednością, jak On chciał i chce byśmy jedno byli z Nim i w Nim.

Pakenham

Tłum. z ang.

SPRAWY I LUDZIE

(Dokończenie ze str. 2)

Rozumowanie to popierają cytaty z dzieł naukowych oraz opinie prawników niemieckich i amerykańskich.

Zgodnie z tym poglądem, Komisja do Spraw Należności Jenieckich przy zarządzie głównym SPK wytoczyła procesy przeciwko Niemieckiej Republice Federalnej przed sądami Republiki. Procesy te obie'y zarówno należności oficerskie, jak i roszczenia szeregowych z tytułu należności za pracę.

Niezależnie od procesów — do federalnego ministerstwa finansów zgłoszone zostały te pretensje jenieckie, jakie zgłoszone były w Komisji. Procesy sądowe nie wyszły jeszcze poza fazę kwestii proceduralnych, rząd niemiecki bowiem broni swego stanowiska, iż należności jenieckie nie podlegają właściwości sądów cywilnych, a powinny być skierowane na drogę postępowania administracyjno-sądowego. Stowarzyszenie Prawników udziela pomocy fachowej również i akcji rewindykacji należności jenieckich.

*

W grudniu 1958 zmarł w Zurychu **Wolfgang Pauli**, wybitny szwajcarski fizyk atomowy. W 1925 wykrył on „prawo wyłączności“, które stało się podstawowym prawem fizyki atomowej, pozwalając poznać budowę powłoki elektronowej atomów i drobin. Prawo to umożliwiło badania sił wiążących atomy, rzucając nowe światło na wiele procesów chemicznych, szczególnie w metalografii. W 1931 postułował nową cząsteczkę elemntarną „neutrino“, która tłumaczyła zjawiska fizyki jądrowej, dotychczas niezrozumiałe. W 1956 udało się potwierdzić doświadczalnie istnienie nowej cząsteczki.

Książka „The Interpretation of Nature and the Psyche“, napisana wspólnie z Jungiem, jest dowodem, że Pauli usiłował wdzierać się również i w zasadnicze problemy natury ludzkiej i życia duchowego człowieka.

ZOFIA MONTANA

SIMONE WEIL

Niezwykłym wydarzeniem w religijnych kołach elity francuskiej stała się w ostatnich latach twórczość Simone Weil. Już po jej śmierci, w 1943 roku, wydano z jej urzekających utworów: „Pesanteur et grâce“ (1947); „L'enracinement“ (1949); „Attente de Dieu“ (1950); „La connaissance surnaturelle“ (1950); „Lettre à un religieux“ (1951); „Intuitions pré-chrétiennes“ (1951); „La condition ouvrière“ (1951); „Cahiers“ (1951-1956).

Na przestrzeni kilku ostatnich lat ukazało się sporo opracowań jej życia, utworów i poglądów. Do najciekawszych należą: M. More: „La pensée religieuse de Simone Weil“ (w „Dieu Vivant“, nr 17, 1950); R. Rouquette: „Mystère de Simone Weil“ („Etudes“, styczeń, 1951); J. Perrin i G. Thibon: „Simone Weil telle que nous l'avons connue“ (Paris, 1952); Charles Moeller: „Simone Weil et l'Ancien Testament“ (w „Cahiers Sioniens“, czerwiec, 1952).

Ostatnio ukazały się cztery pozycje wydawnicze poświęcone również postaci Simone Weil.

Jacques Cabaud w „L'éxperience vécue de Simone Weil“ (Plon, 1957) daje poważne opracowanie twórczości i życia Simone Weil, usiłując ująć syntetycznie jej myśl religijną. Cabaud odkrywa w niej pelagiankę, która sama siebie nie zna. Tragizm myśli religijnej Simone Weil tkwi według niego w tym, że chce ona odnaleźć istotę chrześcijaństwa na drodze intuicji czysto indywidualnej, zapominając o tym, że objawienie jest faktem historycznym i kolektywnym. W ten sposób staje ona poza katolicyzmem, a nawet poza chrześcijaństwem utonąwszy w krańcowym solipsyzmie.

M. M. Davy w dwóch książkach: „Introduction au message de Simone Weil“ (Plon, 1954) i w „Simone Weil“ (Collection Témoins du XX siècle, Editions Universitaires, 1957) — daje pełną admiracji obronę pisarki, w której autorka znalazła mistrzynię swego życia. Druga książeczka M. M. Davy jest bardziej krytyczna; według niej myśl Simone Weil jest bardziej twórcza w dziedzinie socjalnej niż religijnej, zwłaszcza w książkach „Oppression et liberté“ i „L'Enrecinement“, które mówią o idealnym państwie sprawiedliwości i szczęścia ludzkiego. Trudno jednak możliwość takiego państwa pogodzić z teologią zła u Simone Weil.

Trzecia pozycja — książeczka Eugène Fleuré „Simone Weil ouvrière“ (Lanore, 1956) jest bezkrytyczną hagiografią.

Przed tego rodzaju brakiem krytycyzmu przestrzega Charles Moeller, dając trafną i ujmującą charakterystykę sylwetki Simone Weil i gruntowną analizę jej poglądów w swym dziele pt. „Litterature du XX Siècle et Christianisme“, cz. I. „Silence de Dieu“ (Casterman, Paris-Tournai, 1957).

Zdaniem jego, Simone Weil nie jest chrześcijanką, nie uwieńczyła bowiem swej drogi do Boga przyjęciem chrztu świętego. Jej poglądy oddaliły ją nie tylko od Kościoła, ale od całego chrześcijaństwa. Niemniej jednak jej miłość do ludzi, jej łaski mistyczne, świadczą o wielkich tęsknotach duchowych, których doświadczają coraz częściej ludzie naszej epoki głębiej i bystrzej patrzący na świat. W poglądach Simone Weil kryją się jednak bardzo subtelne pokusy, czyhające nawet na skrystalizowanych katolików. Entuzjazm kół chrześcijańskich dla dzieł Simone Weil zdradza — twierdzi Moeller — charakterystyczny zamęt myśli katolickiej naszego wieku. Chcielibyśmy ochrzcić wszystko to co jest podobne do chrześcijaństwa, ponieważ nie chcemy podjąć wysiłku poznania chrześcijaństwa autentycznego. Można by powiedzieć, że oczekujemy na prawdy religijne od myślicieli niechrześcijańskich, ażeby sobie uświadomić bogactwo prawd, które posiadamy, ale o których dawno-śmy zapomnieli. Nie mamy czystego sumienia i wstydzimy się naszej wiary. Być może, że jest to tkwiące jeszcze głęboko w duszy inteligencji Zachodu, a z nim i Polski, odziedziczone po pozytywizmie obciążenie negatywnym stosunkiem do religii objawionej, do myśli katolickiej. Okres modernizmu tę bruzdę wyżłobioną w umysłach naszej inteligencji jeszcze bardziej pogłębił. I z tych właśnie przyczyn pokutuje w nas jakieś nieuzasadnione zawstydzenie wobec doktryn laickich. Stąd to jakby olśnienie wobec ludzi, którzy swoimi własnymi ścieżkami doszli do bogactwa prawdy, w którą wierzy katolik.

Moeller z głębokim szacunkiem mówi o postawie moralnej Simone Weil, ale przeciwstawia się ostro herezji, w której ugrzęzła. Nazywa ją męczenniczką miłosierdzia. Życie Simone Weil porywa szlachetnym zapałem, głębokim humanitarnym stosunkiem do ludzi. Urodzona w 1909 r., wychowana w komforcie i zbytku, już w piątym roku życia wykazuje wielką wrażliwość na cierpienie żołnierzy, ofiar wojny światowej. Sama też wcześnie poznaje cierpienie: najpierw okropne migreny, później bolesne rozczarowania i zawiedzione ambicje młodości. Brat jej wykazuje niezwykłe zdolności matematyczne. Simone czuje, że mu nigdy nie dorówna, że męski świat prawdy jest dla niej zamknięty. Jest to źródłem kompleksu niższości, który zaprowadzi ją na kręte psychopatyczne ścieżki zwalczania w sobie za wszelką cenę kobiecości. Wszelkie przejawy uczucia będzie uważała zawsze za kobiecą słabość i obawa przed nią doprowadzi do przerostu intelektualizmu.

Drugim kompleksem, który bardzo zaważył na jej psychice, był antysemityzm. Simone Weil, sama semitka, wychowana w kompletnym agnostycyzmie, czuje odrazę do żydowskiego formalizmu religijnego niektórych członków swojej rodziny. Stało się to źródłem jej namiętnej niechęci do Starego Testamentu.

Niezwykle zdolna, kończy studia, zostaje profesorem w Puy, jej poglądy są rewolucyjne, niemal anarchiczne. Pociągają ją czyny heroiczne. Współczuje robotnikom w okresie bezrobocia i chcąc dzielić ich los, sama angażuje się do pracy w hucie jako frezarka. Nieszczęście i bieda, które miażdżą ludzi, wydają jej się sataniczne. W 1935 bierze udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Podczas ostatniej wojny ucieka do Ameryki ze swoją rodziną, wraca w 1942 do Londynu, oddaje swoje racje żywnościowe biednym i poświęca długie godziny pracy jakiemuś zapóźnionemu w rozwoju dziecku. Wszystko to jednak rujnuje jej zdrowie; umiera w sierpniu 1943 r. w Londynie.

Ten skrót życia Simone Weil świadczy o tym, że głównym motorem jej postępowania było zawsze głębokie współczucie dla niedoli ludzkiej. Nie opuszcza jej nigdy szlachetny pęd do dobra i poszukiwania prawdy. Jej życie wewnętrzne mimo wychowania w agnostycyzmie i ateizmie wykazuje przedziwne mistyczne tendencje, którym daje niejednokrotnie wyraz w swoich pismach. „W Asyżu spędziłam dwa cudowne dni — pisze w „Attente de Dieu“ w 1931 r. — Byłam sama w romańskiej kaplicy Matki Boskiej z XII w., gdzie modlił się często św. Franciszek; poczucie jakiejś cudownej czystości, silniejsze ode mnie rzuciło mię po raz pierwszy w życiu na kolana“. W Solesmes, gdzie spędziła dziesięć dni w okresie Wielkiego Tygodnia, przeżywa niezwykłą radość słuchając gregoriańskich śpiewów; zaczyna pojmować mękę Chrystusa. Te i tym podobne wypowiedzi świadczą o tendencjach mistycznych jej duszy.

Jednakże ani niezwykła szlachetność moralna, ani mistyczne uniesienia nie zniszczyły w niej nawyków myślenia, skłonności i uprzedzeń. Moeller wykazuje na przykładach, że ani łaska, ani modlitwa, ani przemiana moralna nie może wyniszczyć od razu całego balastu obciążeń duchowych ludzi wychowanych poza chrześcijaństwem. Jest w nich coś w rodzaju resentymentu, który raz po raz wybucha z większą lub mniej-

szą obsesyjnością. — Sądzę, że tym chyba można tłumaczyć ponure skomplikowanie powieści t.zw. katolickich Zachodu.

Analizując błędy doktrynalne Simone Weil, Moeller ostrzega przed nimi. Dramatem jej jest to, że ogromna inteligencja stanęła w poprzek łasce i poniosła ją na manowce. Odrzuciła cuda, Opatrzność, zafascynowana filozofią grecką, zwłaszcza eklektyzmem mistycznym okresu helleńskiego; skonstruowała sobie poglądy stoicko-gnostyczne, i skończyła wreszcie na kataryzmie. Synkretyzm religijny pozwala jej identyfikować Chrystusa, Ozyrysa i Dionizosa. Bezpośrednio po mistycznym przeżyciu w Solesmes pisze: „Zrozumiałam, że Platon jest mistykiem, że cała Iliada zanurzona jest w świetle chrześcijańskim; Dionizos i Ozyrys są w pewnym sensie samym Chrystusem. I moja miłość do Niego wzrasta..“

Pod wpływem kompleksu antysemickiego odrzuciła Simone Weil Stary Testament, a jej poglądy na stworzenie mają charakter niemal bluźnierczy: „Wielką zbrodnią Boga w stosunku do nas jest to, że nas stworzył, i że istniejemy“ („Connaissance surnaturelle“). „Ojcze nasz“ pozwala suponować jej zdaniem, że Bóg jest w świecie nieobecny, „nadejście jego królestwa“ oznacza, że stworzenie zniknie, ponieważ jest grzechem. Dobro jest poza światem, a świat jest skazany na zło. Stworzenie nie jest bytem, jest żartem Boga. Jedynie materia jest piękna, gdyż nie jest stworzona. Również zagadnienie seksualizmu wykazuje u Simone Weil manichejską aberację. Sexus jest przekleństwem człowieka, ale też ciągle wraca u niej obsesyjnie.

Reasumując te sądy o Simone Weil, Moeller twierdzi, że trzeba przeprowadzić jasną linię demarkacyjną między moralną postawą myślicielki a jej poglądami i twierdzi, że wszystkie aberacje jej myśli wyrastają z hipertrofii jej inteligencji. Pozostawiona sobie samej, wyzbywszy się swej kobiecości, padła ofiarą swojej inteligencji. U podstaw jej poglądu tkwi pragnienie zbawienia się własnymi siłami bez Boga i Jego łaski. Poglądy Simone Weil są jakimś nowym kataryzmem i pelagianizmem, a przyjmowane bezkrytycznie mogą wprowadzić zamieszanie zarówno w poglądach katolików, jak też w poglądzie na naturę religii objawionej.

Zofia Montana

M. MAŁACHOWSKA

Powierzchowne spojrzenie na powierzchowność

Sunie szereg limuzyn. Jest to pąć, ale jakże niepodobna do pielgrzymek starokrajskich. Nie ma tu wydeptanych dróżek kalwaryjskich i nikt się nie wspina na Monsalvat. Ameryka jest uboższa od Europy o całe średniowiecze, jak też o te wieki, gdy na głuchej, ciemnej wsi liturgia ukazywała wiernym majestat Boga. Ameryka wie o tym i zazdrości Europie nie tylko katedry w Chartres, ale również potrzaskanych sterów i strzępów żagli wiszących jako wota w starych kościółkach rybackich. Może przez tę drobnomieszczańską zazdrość i parweniuszowską pychę jest tu dalej do Rzymu niżby się zdawało.

Katolicyzm zatem nie przemawia w Ameryce obrazami: ruin, zabytków, cudów, męczeństw i objawień. Jest zamknięty w książce. Trzeba książkę otworzyć, aby go poznać i tu leży pierwsza trudność do pokonania, bo Amerykanie nie czytają. Według ankiet Galuppa z lat ubiegłych tylko 17% czyta stale. Jazda samochodami, telewizja, a głównie usypiająca jałowość życia zabija czytelnictwo.

Apostolat świeckich w Ameryce ma przed sobą niemało przeszkód do pokonania i zadań do rozwiązania. Na pierwszy plan pracy wysuwają się: kultura czytelnictwa i przywrócenie należnego miejsca nauce. Jakże to poznać Boga przy niechęci do czytania i trudnościach językowych? Przeciętny Amerykanin włada bowiem skróconym słownictwem wygodnym dla początków cywilizacji techniczno-przemysłowej, ale jakże różnym od języka z okresu pasterskiego i rolniczego, którym przemawia Ewangelia. Młody Amerykanin nie ma chęci do samodzielnego myślenia i wyższych studiów, płaci nieuctwem za przedwojenną modę, której i my ulegaliśmy w latach dwudziestych, powtarzając w Polsce za Ameryką, że dyplomy są przeżytkiem, że ważne jest to, co kto potrafi, a nie to jakie ma studia, a przy opracowywaniu programów dla szkół zawodowych po macoszemu traktowaliśmy wykształcenie ogólne.

Apostoł świecki w dosłownym znaczeniu musi być rybakiem łowiącym poszczególne jednostki. W obecnych warunkach trudno nawet mówić o personalizmie chrześcijańskim. Formy życia grupowego ciążą i przygniatają każdego od wczesnego dzieciństwa. Trudno mówić o kształtowaniu się charakterów, gdyż wszystko tu jest lotne, sypkie, powierzchowne. Zakotwiczenie jest możliwe tylko w Kościele. Pęd mas do zgrupowań sekciarskich można też sobie tłumaczyć tęsknotą do rzeczy stałych, niezmiennych, do opoki.

Oszałamiający bieg codziennego życia przeciętnego Amerykanina utrudnia mu bardziej niż to bywa w innych krajach — praktykowanie dodatnich sprawności moralnych. W zmechanizowanych formach nie ma miejsca na cnotę roztropności, albowiem zastanawiają się, myślą, kierują za nas inni. Cały przemysł i styl życia ustawiają się frontem przeciwko cnocie wstrzemięźliwości. Propaganda i reklama, opierając się na zmienności gustów i upodobań, systematycznie tępią w człowieku przyzwyczajenie, przywiązanie, a w końcu wierność rzeczom i ludziom. Powszechny dobrobyt, przejawiający się w luksusowym szpitalnictwie, w domach dla starców, lub chorych, tłumi miłosierdzie; dobroć, bezinteresowność i ofiarność zabija się w dziecku przez system „napiwków“, płaci się tu bowiem dzieciom za postępy w nauce, za dobre sprawowanie, za każdy naturalny odruch uprzejmej życzliwości. Apostoł świecki ma za zadanie nie tylko usuwanie przerostu materializmu, ale i zwalczanie pewnych tendencji przejawiających się w naginaniu prawd wiary dla własnej wygody. Dotyczy to szczególnie pokuty. Dla przykładu weźmy zakończenie „Fatimy“, w którym Walsh, rozmawiając z Łucją, przeinacza pojęcie pokuty, niezgodnie z tym, co przeżywała mała trójka w Cova da Iria.

Organizacje rodzinne i szkolne czekają na liczne zastępy apostołów świeckich. Szkoły w Ameryce nie uczą samodzielnego myślenia, nie dają też metod dla dalszych studiów. Są mniej więcej zanieczyszczonymi zbiornikami różnych wiadomości, z których się chłepcze bez apetytu. Podobnie szkoły katolickie nie uczą myśleć po katolicku ani też nie wypracowują katolickiego stylu życia. Katechizm pozostaje w podręczniku, poza szkołą obowiązuje etyka sytuacyjna dorosłych. Zakony same sobie utrudniły zadanie, wprowadzając do szkół powszechnych koedukację, co jest sprzeczne z podstawową zasadą wychowania chrześcijańskiego. Wydaje się, że minimalny procent wychowanków szkół katolickich bierze czynny udział w Sodalicjach, Klubach Newmana i innych organizacjach katolickich, bądź ma wpływ w organizacjach zawodowych.

Jak szkoły katolickie ożywić, aby nabrały heroicznego charakteru, misyjnego, aby były kolebką powołań i uduchowiły oblicze Ameryki, jest troską Hierarchii; apostolat świeckich dopomaga jej w dziedzinie życia rodzinnego i szkolnego. Nowym rodzajem pracy byłby apostolat ulicy, wpływający na jej wygląd i obyczajność.

Trudności i zadania są duże i niewątpliwie niełatwe, albowiem Ameryka nie ma przychylnego klimatu dla życia religijnego. Niewątpliwie jednak klimat ten stopniowo się zmieni, gdyż i wśród Hierarchii i w apostolacie świeckich są jednostki niepospolite i w łasce. Rodzą się nowe formy i metody („Cana Movement“, „Christophers“ i in.), interesujące i niezwykłe dla ludzi starokrajskich przyzwyczajonych do innych form i metod, i do innego klimatu.

M. Małachowska

MARIETTA MARTIN

Drugie opowiadanie sobotnie

Poniższe opowiadanie Marietty pochodzi z „Opowiadań z Raju", nie jak mylnie podano w numerze grudniowym, z „Opowiadań o Raju". Aczkolwiek nie wynika to wyraźnie z poniższego tekstu, wszystkie te historie wkłada Marietta w usta Boga, który opowiada je siedzącym w koło Świętym i starszyźnie niebieskiej. Marietta ustawia się w takim samym stosunku do swego dzieła, jak stenograf do mówcy. Przyjmując takie stanowisko pragnie ona na nowo włączyć sprawy ludzkie w orbitę spraw Boskich. Nie ma w tym dziele bynajmniej opowiadań o Raju, wszystkie dotyczą ziemi i spraw ludzkich.

Tych czytelników, którzy przeczytali artykuł o Mariecie Martin w numerze gwiazdkowym, zainteresuje może dodatkowa uwaga, że to, „Sobotnie" opowiadanie jest z lekka zaszyfrowanym opowiadaniem o chorobie siostrzeńca Stefana. Hiszpania, to Polska. Zresztą, któż z Polaków w końcowych zdaniach nie rozpozna tak typowo polskich cech krajobrazu i obrzędu.

Jeszcze słowo o sposobie tłumaczenia. Nie uważałem za stosowne korzystać z prawa amplifikacji, które wobec tekstu tak skoncentrowanego samo się narzuca. Uważam, że, ilekroć język polski na to zezwala, i sens się absolutnie nie gubi, tłumaczenie jak najbliższe oryginału oddaje, przynajmniej w wypadku tekstów Marietty, jak najdokładniej pełnię dramatyczności i urok poezji, która je owiewa.

Tłumacz

* * *

A oto zdarzenie, które należy opowiedzieć; widzisz ten nowy zeszyt, jasno niebieski, koloru soboty?

Dziecię jest blade, pierś dyszy. W pokoju nie jest jasno; dlaczego? gdyby było światło, nie ta lampa, przede wszystkim, gdyby było lato — poranek, czerwiec, ptaszki, światło już nagrzane sączące się przez szpary okiennic — to to nie byłoby nastąpiło.

Tak. Złem jest ten śnieg, ten okropny, obrzydły półmrok; kruki przysiadają na rynnie, biją skrzydłami, hałasują.

— Czy ostatni już wnet odleci hen od okna?

— Na pewno! to jest opowiadanie radosne, opowiadanie prawdziwe.

Dnie powracają, niezatarta kalka.

Niedziela, która je poprzedziła, była drugą Adwentu. Niedzielą Ewangelii: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci czystymi się stają, głusi słyszą, umarli z martwych powstają... „los muertos resucitan..." kościół jest kościółkiem w Hiszpanii.

Słowa odbijają się echem, sklepienia są ich pełne... „los muertos resucitan.." Może dlatego, iż wymawiane w tym twardym języku, sylaby ciało i krew?

Wieczorem, podróż. Droga biegnie w dal, myśli zwyczajne. Świat: gra, gdzie miłość może, gdzie panuje oblicze.

Brak światła; lampki nocne, świeczki urodzinowe; urodziny? każdego dnia.

Przyjazd. Łamiące się słowa. Co się dzieje?

Na łóżku, dziecię było umierające.

Przy wejściu, uśmiech; uśmiech wczorajszy, ten sam jak zawsze... taki słabiutki, wargi nie mogą dłużej niż na chwilkę.

To nieprawda, to niemożliwe?

Godziny szły po sobie; głuche szmery za drzwiami; drzwi się otwierają, nigdy słowo, które przyniesie wyzwolenie: „uratowane".

Jeden dzień, dwa dni. W głowie na szczęście myśl zamarła; przeto prawie cisza, rozum nie pojmuje, nigdy nie pojmie. Straszliwy obraz właśnie przemknął przez myśl, ten orszak za trumną? obraz mógł przejść i nie zabić, to możliwe, powierzchnia, która zapisuje, przestała reagować.

Los muertos resucitan.

Nagle słowo znów jest tu, słowo z Niedzieli, sprzed wczoraj, sprzed wieków, lub w innym świecie — naprzód.

Mózg nie może jeszcze wyciągnąć wniosku, zatem ufać. Słowa piętrzą się tylko, jak gdyby pojawiły się na murze — nawet nie pisane, to byłby już rysunek, zarysy — na tę odległość, jest to dopiero ognisko światła bez zarysów. Ręka się nie podniesie, ciało nie ruszy ku temu światłu, ale jest ono już obecne, w pewnym odstępie.

Potem, imię dziecka na pierwszej stronie księgi — księgi o nim, księgi człowieka.

Głos dziecka dochodzi z wielkiej dali, głos w gorączce, co zaledwie przekracza próg warg. W nocy niebieska koszulka się porusza, w dłoni dłoń pozostaje ciepła, przeto nic się nie dzieje.

To mogłoby się nawet zdarzyć, mogłoby nastąpić i nie uśmiercić; ażeby umrzeć, trzeba, ażeby coś mogło jeszcze przestać być — nie ta pustka, gdzie wszystko może się zdarzyć, wejść.

Trzeba po prostu patrzeć na dziecko, patrzeć na nie cały czas, gdy zechce, wziąć je na kolana — lekarze zezwolili na wszystko — oby mu tylko nie było zimno, jego stopki są lodowate, trzeba nałożyć wełniane pończoszki, nic więcej; i kocyk; tak godzinami, całą noc — to wszystko.

Inny pokój; tamten jest za mały, pełen duchów, duchów złych, jest on długi i wąski, kształt nieodpowiedni. Ten, to tak, większy, kwadratowy, o dwu oknach, jest w nim dużo przestrzeni — coś może wejść, podejść do łóżka, coś jasnego.

Wokół łóżka ta rzecz już teraz rzeczywiście jest; powietrze lżejsze, powietrze zmieszane ze światłem, powietrze wybielone, mniej ciężkie, bardziej rozrzedzone, miałkość piasku, mrowie promieni między dwoma świerkami w lesie; czy słońce pozostanie? jeszcze nie, jest ono jeszcze blade; jeszcze nie złociste, ale może się takim stać.

Sobota, dziecię poprosiło o zabawkę; nie może podnieść główki, trzeba mu tę zabawkę przesuwać przed oczami; zabawka jest zwierzęciem, konikiem.

Gwiazdka, dzień, w którym radość zstępuje na ziemię — północ, kościoły, światła, żłóbek — Jezu, przyszedłeś, jesteś tu? Poranek Bożego Narodzenia — dzieci, kominki — dzień, w którym, co dopiero, z nieba, przyniosłeś z sobą jedynie radości? bo jesteś dobry, jesteś dobrocią nieskończoną, dobrocią, którą o wszystko można prosić, od dzieciństwa wszystkiego mi udzielasz, powiedziałeś, że trzeba Cię tylko prosić i że nigdy nie odmawiasz, znam te słowa: „o cokolwiek poprosicie w imię moje" i „aby radość wasza była doskonała"; ludzie kłamią, ale Ty nie kłamiesz?

Dlaczego zezwoliłeś, by mu się pogorszyło, by więcej musiał cierpieć w dzień Bożego Narodzenia? Ci, którzy się buntują, którzy wtedy już w Ciebie nie wierzą o mój Boże, czy Ty to rozumiesz?...

* * *

Kilka tygodni później, dziecię się bawi, ubrane na szaro i różowo, szary płaszczyk, wokół szyi różowy szal; „dowidzenia", ruch ręki, uśmiech poprzedni; życie? znów ogrodem, każdy dzień, jak ten dzień radosny Matki Boskiej Gromnicznej — po wznoszącej się drodze przewija się procesja z gromnicami. Dalej, brzozy, punkt pod gołym niebem, nieznany. Drogi znów się rozchodzą. W chwili pożegnania, aby trwało jak najdłużej, ojciec podnosi dziecię na ramiona.

W tym samym miejscu, na skrzyżowaniu dróg, stoi Boża Męka — pięć lat później, człowiek przechadza się z dzieckiem, dziecię się śmieje:

— ...aby się zabawić złóżmy bukiecik na każdym ołtarzu.

Tłum. Z. E. Wałaszewski

OD GOŚCIA Z KRAJU

(AUDIATUR ET ALTERA PARS)

Od chwili, kiedy otwarły się granice dla ruchu turystycznego, kontakt z zagranicą stał się dla Kraju jakimś ożywczym zastrzykiem dla naszego życia nie tylko kulturalnego, ale i rodzinnego, i obyczajowego. Najczęściej nawiedzają Polacy Anglię, a zwłaszcza Londyn, zapewne dlatego, że jest to największe skupisko Rodaków na emigracji. To miasto-moloch jest dla polskiego turysty oazą dziwności i atrakcyjności. I z tego też punktu widzenia ujmuje wspomnienia z podróży do Anglii cała lawina artykułów w prasie krajowej. Warto by się pokusić o spojrzenie na te kontakty z zagranicą nie tyle od strony dziwności i atrakcyjności, ile pod kątem widzenia istotnych i pozytywnych wartości i sensowności tych kontaktów.

W jednym z numerów „Życia" w Londynie ukazał się artykuł pt. „Na gości z Kraju" (Nr 8/557 z sierpnia 1958 r.). Na moje nieszczęście przeczytałam go na samym początku mego pobytu w Londynie. Powiało z tego artykułu chłodem i zimnem na wszystkie entuzjastyczne odruchy serca, z którymi jechałam do Anglii. Autor artykułu podzielił wszystkich gości z Kraju na cztery kategorie: a) rodziny, b) stypendystów, artystów, uczestników zjazdów naukowych, c)funkcjonariuszy partii, urzędników, dziennikarzy, d) poszukiwaczy przygód. Większość z nich, zwłaszcza 3 i 4 kategoria, budzi dużo zastrzeżeń i dlatego Autor ostrzega, by serdeczność w stosunku do gości nie była ślepa i bezkrytyczna, przestrzega przed naciąganiem na „polską biedę", przed kompromitującą żebraniną, przed publicystami i pisarzami mniejszego kalibru itp.

Przeczytawszy ten artykuł, zaczęłam myśleć z przerażeniem i niepokojem, do którejże też grupy mnie Rodacy zaliczą? I ten lęk nie opuszczał mnie już do końca. Każda rozmowa, każdy kontakt, prośba wydawała mi się jakimś natręctwem i nadużyciem cierpliwości i uprzejmości ludzi, z którymi się spotykałam. A tyle chciałoby się dowiedzieć, posłyszeć, zobaczyć, a przede wszystkim poznać koleje i losy tylu tysięcy i milionów Polaków rozsianych po świecie, o których my w Kraju tak niewiele wiemy.

Zapewne, że te zastrzeżenia przeciwko gościom z Kraju musiały mieć swoje uzasadnione powody. Wydaje mi się jednak, że i podział był na prawdę „z grubsza" zrobiony, a poza tym przy tak surowej ocenie trzeba było coś pozytywnego powiedzieć o tych lepszych kategoriach i z pewną dozą krytycyzmu spostrzec, że i postawa polskich gospodarzy w Anglii często pozostawia trochę do życzenia. Pisze pan J. B., że „każdy gość z Kraju jest dla emigrantów jakby żywą relikwią narodową", że „emigranci posiadają określony mit Kraju i ludzi z Kraju". „W każdym przybyszu stamtąd upatrują najlepszego Polaka, każdego gościa z Polski gotowi jesteśmy ozłocić, nakarmić, przyodziać". Na pewno jest to wypowiedź szczera, z głębi serca płynąca. I na pewno „goście z Kraju" najczęściej się z taką postawą spotykają. Spotykają się jednak i z czym innym, z czego sobie może nawet nasi Rodacy nie zdają sprawy.

Trudno mi się zrewanżować takim schematycznym podziałem Rodaków na obczyźnie, jak to uczynił J. B. z gośćmi z Kraju, gdyż schematyzm jest zawsze pewnym krzywdzącym uproszczeniem. Ten artykuł w połączeniu z różnymi drobnymi wydarzeniami uświadomił mi fakt, że wojna wyrządziła nam daleko większą krzywdę, niż tylko straty materialne, ruiny i zgliszcza, niż nawet narzucenie nam przemocą innego ustroju, gdyż wykopała przepaść pomiędzy nami a Polonią zagraniczną. Nie zdołaliśmy jej jeszcze wyrównać, mimo tego, że nastroje jątrzące i judzące w polskiej publicystyce tak w Kraju, jak i na Emigracji mocno złagodniały, że uprzedzenia Emigracji do Kraju przycichły i nabrały bardziej trzeźwego i obiektywnego charakteru. W Kraju zrozumiano, że „nasi za granicą" nie wybrali łatwiejszej drogi, że nie są oportunistami, którzy się „dobrze urządzili". — Zrozumieliśmy, że niełatwo układało się życie naszej Emigracji i wiemy, że i dziś niewielu jest takich szczęściarzy, którzy się nie zdeklasowali zawodowo. Nie dziwimy się, że wracać nie chcą, gdyż Kraj nie wytrzymałby dziś silniejszego liczebnie powrotu Polaków z Zachodu, a oni nie wytrzymaliby tego katakumbowego życia, na jakie jesteśmy skazani. Nie pora też dziś rozstrzygać problem sensowności motywów politycznych, które spowodowały taką masową emigrację, tym bardziej, że to raczej nie motywy, ale zdarzenia dziejowe pokierowały tak, a nie inaczej jej losami. Droga polskiego emigranta do Londynu wiodła najczęściej poprzez pola bitewne, Tobruku, Gazali, Bardii i Monte Cassino. Wiemy o tym bardzo dobrze, że problem emigracji tak polskiej, jak i każdej innej, jest niesłychanie trudny. Nikt tego lepiej nie zrozumiał, jak zmarły niedawno papież Pius XII wydając konstytucję „Exul Familia". Nie wdając się w oceny polityczne Ojciec Św. zatroszczył się jedynie o to, by rozproszone rzesze Jego owczarni pośród niebezpieczeństw i trudnych anormalnych warunków egzystencji poczuły macierzyńską opiekę Kościoła, nie straciły busoli życia. Obserwując życie Polaków w Londynie często odnosiłam wrażenie, że właśnie oni zagubili busolę.

Emigracja londyńska ma niewątpliwie swoje pozytywne osiągnięcia w dziedzinie naukowej, literackiej i religijnej. Mówi o tym głębokie studium socjologiczne Zubrzyckiego, Roczniki P. T. — N. N. O., czasopisma literackie i religijne i inne liczne wydawnictwa. Ale też Emigracja ma swoje bolączki i ciemne strony, ma swoje kłótnie i rozterki i upadki. Odbija się to w różnych przejawach życia codziennego. Toteż przeciętnego „gościa z Kraju" w codziennych kontaktach towarzyskich z emigrantami razi i boli na każdym kroku pewnego rodzaju zacieśnienie horyzontów, nasiąknięcie dużą dozą sybarytyzmu i materializmu i jakimś dziwnym, niezrozumiałym odnoszeniem się do wszystkiego, co polskie, z wysokości wieży Eiffla, a co najmniej z wyżyny tronu królewskiego. Wynika to nie tylko ze zrozumiałej opozycji wobec nowej sytuacji politycznej w Kraju po wojnie. Wysoka stopa życiowa uprzemysłowionej i bogatej od dawna Anglii, jej niewątpliwie wyższa kultura życia codziennego, doprowadziła Polaków do swoistej egzaltacji na temat wszystkiego, co angielskie. To tylko my z Kraju możemy odczuć i dostrzec te niepokojące zmiany, jakie się w psychice polskich emigrantów dokonały. Jest to ta obca nam wygodna i chłodna zachodniość. Surowy osąd Słowackiego o Polsce, że była „pawiem narodów i papugą" nie bardzo by się już nadawał na określenie naszego obecnego stosunku do Zagranicy. Wzdychamy za lepszymi warunkami bytu, ale nie czynimy z tej sprawy problemu najistotniejszego. I dlatego razi nas przecenianie tego zagadnienia na emigracji.

W drodze przez Niemcy i Holandię jechałam wygodnie pierwszą klasą bez tłoku. Wytwornie ubrane, eleganckie Niemki tryskały dobrobytem. Były towarzyskie i miłe, uprzejme i serdeczne, częstowały współpasażerów słodyczami i papierosami. Kiedy jednak zrobił się tłok i ktoś użalił się nad zmęczoną staniem w korytarzu małą dziewczynką, miła pani nie

---

Dziękujemy „gościowi mniejszego kalibru" i za to, że napisał i za serdeczne wniknięcie w problematykę stosunku emigracji do Kraju. Felieton „Na gości..." to jeden z głosów w dyskusji. Z radością witamy głos gościa, tym bardziej że — wraz z autorką artykułu — ŻYCIE myśli „my" o nas Tam i tu. RED.

zdobyła się na ograniczenie odrobiny ze swej wygody i żadna perswazja nie była w stanie jej nakłonić do usunięcia poręczy oddzielającej bardzo przestronne miejsca pierwszej klasy. Młode małżeństwo z dziewczynką i bagażem gniotło się dalej na stojąco w korytarzu, a „miła pani" wygodnie rozpostarta zagryzała dalej smaczne czekoladki. Jej serdeczność i szczodrość miała swe źródła w zatrutym pychą poczuciu wyższości człowieka bogatego, tak jak wychwalana snobistycznie kultura i uprzejmość za granicą ma często swe źródła w dobrych warunkach ekonomicznych. Ludzie nie muszą się liczyć z groszem, i stąd płynie ich życzliwość i towarzyskość, która jednak nie wyjdzie poza granice ciasnego egoizmu. Ten obrazek z podróży wydaje mi się typowy dla człowieka Zachodu i gość z Polski odpowiada nań również typową reakcją zdziwienia, które go ogarniać będzie coraz częściej nie tylko w zetknięciu z cudzoziemcami, ale i z Rodakami. Sprawy materialne okazują się najważniejsze, stają się one pierwszoplanowym tematem rozmowy, nawet w takich sytuacjach, jak pielgrzymka do Aylesford. Nasz strój, wygląd jest przedmiotem stałego współczucia, jest jakby przegrodą towarzyską. W ciągu kilkunastu lat nasi Rodacy przyswoili sobie w jakiś bałwochwalczy sposób codzienne zwyczaje i obyczaje Anglików i traktują je w sposób dziwnie dogmatyczny. Wydaje im się, że tylko oni są dobrze wychowani i kulturalni. Byłam kiedyś świadkiem, jak jeden emigrant zwrócił „przewidująco" uwagę przy stole dorosłej córce, która przyjechała z Polski, żeby noża nie oblizywała, mimo, że była dobrze wychowana i w niczym nie zdradzała tego rodzaju zapędów. Kiedy raz plotkując na temat czasów przedwojennych wyraziłam żal, że jeden ze znajomych emigrantów nie ożenił się ze swą narzeczoną w Kraju, miłą, ładną i kulturalną osóbką, posłyszałam uwagę: „Przecież ona nie nadaje się na żonę za granicę". Do dziś dnia nie mogę zrozumieć dlaczego? — Bolesność polskiego turysty rośnie, kiedy nasi panowie pożeniwszy się z Angielkami, czego im za złe nie bierzemy, skoro Polek w Anglii nie było, znowu z wysokości wieży Eiffla utyskują na nicość literatury i kultury polskiej w porównaniu z zachodnią.

Mój Boże — więc już nikt się nie liczy — ani Mickiewicz ani Sienkiewicz ani Reymont ani Wyspiański!? Może to jest jakieś podświadome uspokojenie wyrzutów sumienia, że dzieci nie mówią po polsku i niewiele o Polsce wiedzą. Wiemy, i na to nie ma rady, że w obcym środowisku dokonuje się proces asymilacji. I mimo szlachetnej patriotycznej tendencji organizacji emigracyjnych prawa życia są silniejsze i młodsze pokolenie wrośnie w glebę angielską. Czy jednak nie za szybko ten proces się dokonuje? Czy aby nie zbyt łatwo szereg osób skwitowało obowiązki moralne wobec ojczyzny ściągając je tylko do sentymentu, do uczucia tęsknoty, które należy podporządkować rozsądkowi. Może to i wina opiekunów duchowych, którzy kierownictwo wiernych podjęli pod kątem widzenia prawie wyłącznie patriotycznym, a zaniedbali troski o wychowanie prawdziwie religijne. Inteligencja polska poza organizacjami katolickimi wykazuje zastraszający indyferentyzm religijny i moralny. Nie uratowało się patriotyzmu, a zaniedbało się człowieka. Zdaje mi się, że położenie nacisku na kształtowanie religijnej osobowości człowieka ocaliłoby i patriotyzm.

Gościowi z Kraju, który przyjeżdża do swoich, wprawdzie z pustą kieszenią, ale z pełnym sercem, bardzo jest smutno, gdy słyszy zewsząd utyskiwanie na długi z powodu wizyt z Polski. Większość z nas nie przyjeżdża po to, by się ubrać i wystroić i naciągnąć rodzinę, choć masa towarowa sklepów londyńskich przyprawia nas o zawrót głowy. Anegdota kursująca po klubach polskich o tym, „że mąż musi się cieszyć z przyjazdu żony" ma w sobie dużo bolesnej wymowy.

Nie dzielę naszych Rodaków na Emigracji na kategorie, nie upraszczam sądów, nie uzurpuję sobie prawa do tego, ale w atmosferze tych kontaktów i wizyt nawet rodzinnych jest coś, przykrego i bolesnego. Zawisła nad nami znowu chmura uraz i uprzedzeń! A to nie tędy droga! Może należałoby rozpatrzyć sprawę wzajemnego stosunku Kraju i Emigracji w atmosferze bardziej rodzinnej?

Podjęliście walkę światopoglądową z całym kierunkiem oficjalnym w Polsce i my — szara masa narodu tej walce przyklaskujemy, a może i u was szukamy oparcia. Dlaczegóż więc identyfikować tę szarą masę z czynnikami oficjalnymi, z tym wszystkim, co nam przemocą narzucono i czym usiłowano „zniewolić nasz umysł"? Czy dlatego, że czasem spotykacie się z reprezentatami reżymu, czy partii, czy poszukiwaczami przygód, to trzeba zaraz bić na alarm, jakby wam groziło niebezpieczeństwo, utrata posady, więzienie i przesłuchanie?

Trzeba przyznać, że w codziennych kontaktach w Londynie nasi Rodacy nie selekcjonują nas na grupy, jak pan J.B., ale co gorsza mówią po prostu „wy" do wszystkich i o wszystkich. Dlaczego zagubiło się to „my"? Czy dlatego, że my znosimy „nowy" ustrój, a wy wsiąkacie w ziemię angielską? Czy nie powinniśmy wspólnie spojrzeć naszej tragedii dziejowej w oczy i z odwagą trzeźwego rozumu powiedzieć sobie: nie wszystko jest w naszej mocy. Nie jest w naszej mocy uratować młode pokolenie, wynaradawiające się na obczyźnie i nie jest w naszej mocy obalić ustrój siłą nam narzucony. Ale jest w naszej mocy wytężyć wszystkie siły, by tu i tam nie zgubił się człowiek. Jest w naszej mocy nie dopuścić do tego, by zrywanie węzłów z narodem, przekształcanie się młodego polskiego pokolenia w angielskie, czy jakiekolwiek inne nie dokonywało się brutalnie, w pogardzie i lekceważeniu dla tysiącletniej tradycji i dla trzydziestomilionowej masy narodu w ojczyźnie. Szacunek dla narodu jest takim samym obowiązkiem moralnym, jak cześć dla rodziców. Jeśli wasze dzieci nie będą utyskiwały na wszystko, co polskie, to będą umiały uszanować wartości narodu nowego, którego w powolnym procesie akomodacji stają się członkami. Nie unikną rozdarcia tragicznego na dwoje, ale przynajmniej przeżyją je w sposób godny i szlachetny.

Po naszej znów stronie i w naszej jest mocy oprzeć się fali przemocy, usiłującej wtłoczyć nas w obce nam szablony myśli i idei. Możemy zejść do katakumb bez wrzawy i krzyku, ale z wiarą, że w katakumbach krzepną siły i gromadzą się na nowe tysiąclecie.

Zdaje mi się, że kiedy po kalejdoskopowym oglądzie metropolii władców świata polski turysta znajdzie się na plantach krakowskich i poi oczy ich zielenią i spokojną architekturą swego starego omszałego patyną wieków miasta, to nie przyjdzie mu bynajmniej ochota zatęsknić za skrzydlatym amorem na Piccadilly Circus, ani za roześmianą luksusem reklamą. Może mu co najwyżej smutno, że polskie trzewiki są nieeleganckie, że po wszystko trzeba stać w ogonkach, ale z tym można się skromnie pogodzić i tym radośniej, że ma się za sobą zaplecze masy narodu. Trudno się jednak pogodzić z tym, że tysiące i miliony z tego odwiecznego pnia narodu zostało wyrwane i rzucone w świat i w pewnym sensie zagubione. „Rozrzucił nas zły los po najdalszych zakątkach naszego globu — pisał kiedyś samotny Polak z Ekwadoru do redakcji jednego z polskich pism londyńskich. — Pół biedy, kiedy człowiek ma do kogo gębę otworzyć, by się ludzkim językiem dogadać, gorzej jest znaleźć się samemu, często wśród życzliwych, ale obcych ludzi i żal i gniew na zły los częściej nachodzi"...

Z takim żalem i gniewem w sercu, rozdartym rozstaniem z najbliższymi, ale i z wiarą, że tu i tam jesteśmy „my", opuszczać musi zagranicę

polski „gość mniejszego kalibru"

O. F. W. BEDNARSKI O. P.

Odpowiedzialność za młodzież z Kraju

Od dwóch lat pojawia się na Zachodzie coraz częściej polska młodzież z Kraju, próbując nieraz nieśmiało nawiązania łączności z emigracją. Niewątpliwie będzie pożyteczne dla obu stron, jeśli emigracja będzie miała rozumnie i planowo przemyślany stosunek do tej młodzieży, zgodnie z dobrem ogólnym narodu. Autor niniejszego artykułu pragnie jedynie zwrócić uwagę uchodźstwa na fakt odpowiedzialności, wynikającej ze spotkań z młodymi Polakami, przebywającymi czasowo za granicą, ale mającymi zamiar wrócić do Polski.

PRZYNALEŻNOŚĆ DO ZACHODU

Geograficzna, polityczna i przede wszystkim kulturowa przynależność Polski do rodziny narodów zachodnich przez tysiąc przeszło lat, tysiącletnie oddziaływanie Zachodu na psychikę polską, a równocześnie tysiącletnie zmaganie się narodu polskiego z ludami wschodnimi, wyżłobiły w duszy Polaków z jednej strony silne poczucie przynależności do świata zachodniego i do jego kultury, a z drugiej strony pewną niechęć do Wschodu i wielu jego przejawów, gdyż to z czym się walczy jest — lub przynajmniej wydaje się — nieprzyjemne, wstrętne i nienawistne. Być może, choć trudno byłoby to udowodnić, ta sympatia do Zachodu i antypatia do Wschodu przeszła w stałą, niemal dziedziczną dyspozycję psycho-organicznej struktury Polaków. Bywało wprawdzie, że naród polski walczył także z narodami zachodnimi, a szczególnie z Niemcami, z cesarstwem, Krzyżakami, Prusakami, Niemcami hitlerowskimi. Ale na ogół stosunki Polski z krajami Europy zachodniej były przyjazne, a dotyczyło to nawet cesarstwa niemieckiego i Austrii. Bywały nawet okresy całych stuleci np. w wieku XVI i XVII, kiedy stosunki Polski z Niemcami były pokojowe, takie, jakie bywają między sąsiadami, gdy żyją w zgodzie. Natomiast ze Wschodem byliśmy niemal stale na stopie wojennej, albo co najmniej w pogotowiu wojennym. Nie było w Polsce przez całą jej historię ani jednego niemal pokolenia, które by nie prowadziło walk z jakimś narodem wschodnim, północno-wschodnim lub południowo-wschodnim: jeśli nie z Rusinami to z Jadźwingami, czy z Litwinami, jeśli nie z Moskalami, to z Kozakami, jeśli nie z Turkami to z Tatarami itd. Nic więc dziwnego, że w psychikę Polaków niejako wrosła niechęć do Wschodu, co zresztą ze stanowiska etyki katolickiej bynajmniej nie jest godne pochwały, a często szkodliwe z punktu widzenia polskiej racji stanu.

Rządy radzieckie oraz PRL w ostatnim dziesięcioleciu robiły wszystko, by niechęć do Wschodu całkowicie wyrwać z duszy polskiej. W myśl zasady: klin klinem się wybija, usiłowano na miejsce nienawiści do Wschodu zaszczepić nienawiść do Zachodu. Usiłowano olśnić młodzież polską niezaprzeczalną wielkością rosyjskiej sztuki, ilteratury, nauki oraz potęgi technicznej i militarnej, tak by polski chłopak uwierzył, że wszystko co było w świecie wielkie i twórcze, powstało w Rosji i w niej dosięga szczytów rozwoju. Państwa zachodnie zaś usiłowano skojarzyć z imperializmem, uciskiem ludów kolorowych, nędzą wyzyskiwanych robotników, zgnilizną moralną, aby w ten sposób wzbudzić sympatię do Wschodu i komunizmu, antypatię zaś do „zgniłego Zachodu" i kapitalizmu.

W rezultacie osiągnięto wręcz przeciwne skutki, niż te, do których zmierzano: pogłębiono antypatię do Wschodu i wywołano zapatrzenie się przekornej młodzieży polskiej w Zachód. Chłopcy i dziewczęta polskie dowiadując się, że na Zachodzie pełno krwiożerczych „rekinów i tygrysów" imperializmu, marzą o zwiedzeniu tych „dzikich prerii", by przypatrzyć się im, swobodnie po nich harcować jako po terenie przygód i pełnego nieskrępowanego wyżycia się. Niejednokrotnie te marzenia ucieleśniały się w postaci ucieczki przez „zieloną granicę", wywołując u rówieśników podziw i tęsknoty do tego rodzaju romantycznych awantur.

Gdy „czynniki miarodajne" spostrzegły bezowocność zastosowanej metody postępowania wobec polskiej młodzieży, obrano inna taktykę: „Imponuje wam Zachód? No to obejrzyjcie go! Oczywiście nie wszyscy. Pozwolimy wyjechać garstce młodzieży komunistycznej i niekomunistycznej, katolickiej i ateistycznej. Niech zobaczą, niech się przekonają, niech potem powiedzą swym kolegom i koleżankom". — Zapełniły się biura Wojewódzkich Komend Milicji Obywatelskiej stosami podań o paszporty na wyjazd do krajów zachodnich, a po paru miesiącach czekania polscy chłopcy i polskie dziewczęta niby jesienne jaskółki wyleciały z kraju i zawitały do Anglii, Francji, Niemiec, Belgii, Włoch, Holandii, a nawet do Ameryki i innych części świata.

EMIGRACJA POMOSTEM

Z otwartymi, chłonnymi oczyma ale przeważnie z pustą kieszenią i zazwyczaj bez znajomości obcych języków, prócz rosyjskiego, młodzi turyści nie zawsze są przygotowani do poznawania Zachodu. I tu zacząć się może rola polskiej emigracji, która z natury rzeczy powinna być pomostem między Polską, a Zachodem, i która może być punktem oparcia dla turystów z Kraju, przyjeżdżających przecież najczęściej na zaproszenie swych krewnych za granicą.

Młodzież krajowa zna emigrację nie tylko z odbicia w krzywym zwierciedle propagandy stalinowskiej, przedstawiającej najwybitniejszych uchodźców jako zdrajców, wyzyskiwaczy, szpiegów, sługusów imperializmu; zna uchodźstwo także z lektury dozwolonych i dawniej niedozwolonych książek, czy z szeptanych opowieści tych, którzy powrócili, czy z często słuchanych audycji radiowych, „głosów" Ameryki, Londynu, Paryża, Madrytu, Ankary, Rzymu, Watykanu, Wolnej Europy itp., czy wreszcie ze śpiewanych między 1945 a 1949 i po 1956 piosenek o tych, dla których „nie ma przeszkód ani złych dróg", którzy, „pod kul deszczem, pod bomb hukiem" murem stali i schodzili „pół świata, żeby Polsce wolność nieść". Młodzież niejednokrotnie czytała „odwrotnie" paszkwile propagandowe z okresu bierutowszczyzny i wyrabiała sobie wzniosłe pojęcie o roli współczesnych emigrantów, jako spadkobierców Wielkiej Emigracji...

W oczach młodzieży w Kraju emigracja jest dość powszechnie uważana za żywą cząstkę narodu, skłóconą wprawdzie z obecnie panującym w Polsce ustrojem, ale nie wydziedziczoną z serc rodaków. Przypisuje się emigracji wielkie posłannictwo ratowania i doskonalenia tego, co naród w Kraju kocha, ale czego nie ma możności rozwijać, zdobywania doświadczeń w krajach o wysokim poziomie cywilizacji i kultury, by przekazać je Polsce, by podnosić jej dobrobyt, powiększać produkcję przemysłową i rolniczą, walczyć z zacofaniem gospodarczym i technicznym.

„Z CZYM GOŚCIE I Z CZYM DO GOŚCI?"

Młodzi Polacy wyjeżdżają za granicę często na zaproszenie najbliższych krewnych, nieraz wysyłani przez rozmaite uczelnie, niekiedy w ramach wycieczek organizowanych przez biura turystyczne, albo w objazdach zespołów artystycznych. Przyjeżdżają do krajów zachodnich ze zrozumiałą ciekawością, by poznać jak tam jest, by zetknąć się z dziedzinami życia, które ich interesują specjalnie, zwiedzić zabytki,

nasycić oczy pięknem obcej przyrody i sztuki. Te wrażenia i doświadczenia chcą przywieźć do Kraju. Garść studentów lub młodych absolwentów wyższych uczelni przybywa by zapoznać się z nowoczesnymi metodami badań i osiągnięciami naukowymi, ażeby po powrocie wykorzystać je dla rozwoju nauki i gospodarki w Polsce.

Ale są i tacy, którzy przyjeżdżają gnani żądzą przygód w wymarzonym świecie bezwzględnej swobody, na „dzikim zachodzie", który im się wydaje światem nieskończonych możliwości robienia pieniędzy i wyżycia się. Ci często proszą o azyl polityczny.

Zdarza się, że młodzi turyści, gdy ochłoną z nadmiaru wrażeń pierwszych dni pobytu za granicą, w nowym dla nich świecie, po obejrzeniu najciekawszych pomników przeszłości i nowoczesności, pragną zetknąć się ze swoimi rówieśnikami i dotrzeć do polskich organizacji młodzieżowych, takich jak zrzeszenia studentów, harcerstwo, sodalicje, zespoły artystyczne itp. Ale tu nieraz spotyka ich „kubeł zimnej wody" w postaci wypowiedzianego lub wyczutego pytania: kto was nasłał i po co? Przybysze z Kraju słusznie czy niesłusznie wyczuwają, że traktuje się ich jako już „zadżumionych" lub co najmniej podejrzanych o „czerwoną dżumę". Zmrożeni takim przyjęciem, czasami zacinają się w sobie i na przekór zaczynają chwalić komunizm, który w Kraju potępiali, albo, tracąc zaufanie do emigracji, zaczynają jej unikać, błąkając się po omacku w obcym kraju, marnując okazję zetknięcia się z prawdziwym nurtem żywej rzeczywistości na Zachodzie. Czasami poddają się kierownictwu tych, których woleliby z daleka omijać, albo wreszcie, by zdobyć zaufanie emigrantów, idą po linii ich życzeń, przedstawiając rzeczywistość polską w najczarniejszych barwach, nawet wbrew własnemu przekonaniu. Tych źle ustawionych turystów Zachód do reszty ogłupia, ukazując płytką nawierzchnię nowoczesnej cywilizacji technicznej, która przesłania głębsze warstwy istotnej treści współczesnej rzeczywistości.

Bywa, że w najtrudniejszym położeniu znajdują się na Zachodzie ci młodzi turyści z Kraju, którzy szczerze kochają Polskę, tę Polskę realną, ani białą ani czerwoną, ale biało-czerwoną — wbrew czerwonej fladze ideologii partyjnej — którzy nie dla takiego czy innego ustroju, ale dla samego narodu chcą pracować w konkretnych warunkach jego bytowania, i jemu całym życiem i całą potęgą swej młodzieńczej energii chcą wiernie służyć w myśl słów poety: „Wszystko co nasze, Polsce oddamy... ramię pręż, słabość krusz, ducha też, Ojczyźnie miłej służ!".

Zdarza się tu i ówdzie, że emigrant poniektóry wysoce odznaczony za waleczność, zostawiwszy przed 20 laty w kraju żonę i małe dzieci, urządził się na Zachodzie, powtórnie się ożenił, zdobył ładny mająteczek. Czasem po latach, tknięty instynktem rodzicielskim, przypomni sobie o swych pierwszych dzieciach, wychowywanych w Kraju — dzięki wprost nadludzkim wysiłkom matki — na inżynierów, lekarzy, księży, nauczycieli itp. „Stęskniony" tatuś wysyła wspaniałomyślnie synkowi zaproszenie i bilet kolejowy. Synek, od 20 lat marzący o ojcu, cieszy się, że wreszcie spełnią się jego złote sny, i że przy okazji wzbogaci na Zachodzie swą wiedzę, by po powrocie tym owocniej pracować nad rozbudową Nowej Huty, nad podniesieniem zdrowotności ludu, rozwojem oświaty itp. Przyjeżdża. Po pierwszych dniach ojcowskiej serdeczności zwierza się ojcu ze swych planów pracy dla Kraju po powrocie. „Ależ synu! taż to współpraca z okupantem! Zostań tu. Postaram Ci się tymczasowo o posadę kelnera w miejscowej restauracji. Więcej zarobisz niż jako inżynier w Nowej Hucie!" Tak, to prawda: może zarobiłby więcej. Ale młody inżynier czuje, że jego miejsce w Polsce, w twórczej pracy nad jej odbudową. Chcę wracać. W oczach rodzica jest „zadżumiony". Czuje, że choć ojciec rozmawia z nim po polsku, nie mają wspólnego języka, nie rozumieją się. Zdaje się mu, że zdaniem ojca państwo leżące między Odrą a Bugiem, nie jest Polską, a kto dla tego państwa pracuje staje się zdrajcą, że ojciec kocha już nie tę rzeczywistą Polskę, ale tylko własne wyobrażenie o Polsce, a więc fikcję. Przepaść między pokoleniami i wzajemne rozgoryczenie pogłębiają się beznadziejnie.

MŁODZIEŻ DOBRA, ALE INNA

Trudne jest w ogóle wzajemne zrozumienie między starym a młodym pokoleniem, a tym bardziej między emigracją od 20 lat pozostającą poza Krajem, a chłopcami i dziewczętami wychowanymi w innym ustroju i w odmiennych warunkach.

Starzy często oskarżają młodych, że są tak... źle wychowani, niegrzeczni, brutalni, bezczelni, chuligani, bezideowi, cynicy, zarażeni komunizmem... Młodzi odpłacają się starym pięknym za nadobne: że czas dla nich zatrzymał się 1 września 1939, że na obczyźnie od tego czasu niczego głupiego nie zapomnieli ani niczego mądrego się nie nauczyli, że dotąd dzielą się na piłsudczyków, hallerczyków, witosowców itd., choć podziały te mają w oczach młodych dziś taką aktualność jak sprawy Hammurabiego i Abrahama, że przytakują zasadzie, „im gorzej w Polsce tym lepiej", patronując choćby milcząco sabotażom gospodarczym w Kraju, leżącym przecież w interesie wszystkich wrogów Polski, że nie rozumieją tak prostej rzeczy jak faktu, iż ta, rzekomo przez nich ukochana Polska, znajduje się dzisiaj nad Wisłą, Odrą i Bugiem, a nie gdzie indziej, że praca w dziele odbudowy Kraju i poprawy warunków bytu jest elementarnym obowiązkiem każdego Polaka, w miarę jego możliwości, a nie „kolaboracją z reżymem komunistycznym", itp., itp.

Mimo pozorów tupetu, bezczelności i hałaśliwego wyżywania się, dochodzących czasem do wybryków chuligaństwa, mimo nienawiści do wszelkiego patosu, dochodzącej niekiedy do pozorów bezideowości, a nawet cynizmu, młodzież w Kraju jest w gruncie rzeczy rozważna i trzeźwa, stara się być mądrą, odporną i nieugiętą. Jest przeraźliwie szczera w swym języku, nie lubi „drętwej mowy", nie cierpi nadużywania wielkich słów, nie znosi górnolotnego gadulstwa, nienawidzi fikcji, wzdryga się przed wszelką religijną czy patriotyczną obłudą i przed jakimkolwiek faryzeizmem choćby przyodzianym w najdostojniejszą togę. Na wszystko chce mieć konkretne pokrycie. Mimo jednostronności swego doświadczenia dąży do samodzielności myślenia, szukając własnych nowych dróg. Ale z drugiej strony łatwo ulega sceptycyzmowi i pesymizmowi, zobojętnieniu ideowemu, niewierze w skuteczność jakichkolwiek poczynań i odrzekaniu się odpowiedzialności za rzeczywistość, w której żyje. Czy to jej wina? A raczej, czy to tylko jej wina?

Charakter młodzieży, podobnie jak i ogół zarówno fizycznych jak i psychicznych jej cech, jest w znacznej mierze wypadkową oddziaływania zawiązków dziedzicznych, uzyskanych w spadku po przodkach, oraz wpływów otoczenia, za które odpowiedzialność spada nie na młodzież, ale właśnie na starsze pokolenie, rządzące światem w polityce, kulturze, w nauce, a nawet w sporcie. Odziedziczony zespół genów wyznacza w pewnym stopniu, jaki poziom kultury zewnętrznej, fizycznej, artystycznej, umysłowej i moralnej młodzi mogą osiągnąć. Ale wpływ otoczenia dorosłych wychowawców w Kraju i po za Krajem, najczęściej rozstrzyga, jaki stopień tej kultury młodzież faktycznie osiągnie.

Starsze pokolenie częściowo w sposób zawiniony, a częściowo niezawiniony stworzyło dla dzisiejszej młodzieży potworne warunki właśnie w tym okresie życia, kiedy dusze młodocianych są najbardziej wrażliwe: między 2 a 5 rokiem życia. A ile lat mają nasi tzw. chuligani, bezideowcy, cynicy?... Od 15 do 20 lat. A więc ich dzieciństwo wypadło na okres od 1939 do 1946. Wiemy dobrze jak huk bomb, pocisków i min wstrząsał dosłownie w całym kraju delikatnym ustrojem nerwowym ówczesnych dzieci, jak często były niedożywiane, jak często patrzyły na bezwstyd w przygodnych noclegach tłumów w trakcie przymusowej tułaczki, jak wstrząsały się konwulsjami przerażenia na widok rozstrzeliwanych krewnych i męki i mordu niewinnych rówieśników żydow-

skich przez gestapowców, niemieckich żołnierzy, czy najemnych siepaczy. A potem te dzieci patrzyły jak starsi „organizowali" sobie życie przez oszustwo, grabież, kradzież. A potem w szkole kazano im przez 10 lat nazywać białym to co czarne i przeciwnie, mieszać z błotem to co w domu nazywano świętym, jako „krwiopijców" traktować bohaterów narodowych, jak Zawisza, Batory, Żółkiewski... Niczego dobrego nie można się było wówczas spodziewać po młodzieży wychowanej w takich warunkach, i to był największy „ból bólów" narodu. A jednak Opatrzność Boża nie dopuściła, by młodzież nasza mimo tak potwornych warunków w dzieciństwie, stała się gorszą od młodzieży narodów zachodnich. Swą postawą moralną bynajmniej jej nie ustępuje, a często przewyższa dynamizmem swego charakteru i przywiązaniem do religii.

Z trudem młodzież w Kraju usiłuje odnaleźć klucz zrozumienia warunków życia w czasie, w którym kazano jej żyć, by wiedzieć co w tych warunkach i w tych właśnie czasach należy robić. A jeśli tego klucza nie umie znaleźć, to nie tylko jej wina. Czy może i wina emigracji? Nie wina emigracji, ale wina także i emigracji, w tej mianowicie mierze, w jakiej może ona i powinna pomagać polskiej młodzieży w Kraju, a nie pomaga, w odnalezieniu tego klucza. Jest to jedna z podstawowych zasad moralności chrześcijańskiej, że człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za to co robi, ale także za to co mógł i powinien był zrobić, a czego nie zrobił, oraz za następstwa bezczynności jeśli mógł a więc powinien był zło przewidzieć i starać się przeciwdziałać.

EMIGRACJA NA CENZUROWANYM

Młodzież w Kraju, w pogoni za kluczami do zrozumienia istotnej treści współczesnych wymagań życia, zwraca oczy ku emigracji, oczekując także od niej odpowiedzi na dręczące ją pytania. Niewątpliwie emigracja, i cała Polonia zagraniczna, zrobiła dla Kraju wiele, i to nie tylko, rzecz jasna, przez miliony wysłanych paczek, W jednym tylko 1947 r. sama Polonia amerykańska przysłała do Polski około trzech milionów paczek.

Młodzież czuje, że emigracja i cała Polonia są szczerze, choć na swój sposób, przywiązane do Polski, i gotowe jej pomóc. To ją krzepi na duchu. Młodzież wie, że emigracja żyje w krajach o strukturze technicznej takiej, jaką chciałaby widzieć w Polsce. Młodzi pragną udziału emigracji w budowie polskiej treści w Kraju. Cenią poczucie jedności z Krajem, gdziekolwiek się ono przejawia, przywiązanie do Polski, przynajmniej tej wyśnionej, wymarzonej, choć zdają sobie sprawę z faktu, że większość emigrantów, nie wyrzekając się swej narodowości, dawnej kultury, języka, wrosła jednak w nowe środowisko w obcym kraju, który niejednokrotnie uznają także za swój i za ojczyznę swych dzieci.

Młodzież widzi także w emigracji świadków historii i dziedziców przeszłości, która przecież jest budulcem przyszłości i której nie da się wymazać ani zamknąć w niepowrotnej zapadlinie czasu, nie da się przerwać jej ciągu, by rozpocząć życie tak, jakby jej w ogóle nie było, gdyż człowiek nie może żyć poza czasem. Chociaż ludzie rozstali się z sobą w r. 1939 czy w 1945, serca ich po obu stronach „kurtyny" biją w zgodny ton wspólnej troski o los narodu. Młodzież nie lekceważy bohaterstwa, wysiłku, ofiarności emigracji. Jest z tego dumna. Chociaż nie znosi wielkich, wyświechtanych nieznośnym patosem słów, kocha jednak Polskę, prawdziwą Polskę, pełną prawdy, której trudno nieraz było ujawniać w Kraju.

Emigracja ma wiele sposobów wpływania na młodzież w Kraju: przez korespondencję, przez zapraszanie młodych za granicę i pokazywanie im nie tylko nawierzchni kultury zachodniej, ale także istotnej jej treści, katolicyzmu nie tylko skostniałego w szanownych zabytkach średniowiecza, ale żywego i pełnego dynamizmu, choć go czasem sami katolicy nie dostrzegają i trzeba aż protestanckiej nagrody Nobla, by na jego osiągnięcia zwrócić uwagę. Możliwości udziału w kształtowaniu młodzieży w Kraju, emigracja zdobyć może przez regularne dostarczanie naprawdę wartościowej literatury i książek naukowych, których głodu nie zaspokoi powódź kryminalno-erotycznej szmiry amerykańskiej ani nawałnica przekładów francuskich ateistów i racjonalistów z XVIII w., skrzętnie poddawana polskiej młodzieży jako namiastka głębszych warstwic kultury zachodniej, której duszą jest chrystianizm. Przydałoby się mądrzejsze opracowywanie audycji zagranicznych, których młodzież słucha. Przede wszystkim zaś konieczne jest spotęgowanie własnego duchowego potencjału, którego promieniowanie na pewno dotrze i młodzież pociągnie, jeśli nie będzie pustką wydętą sloganami, lecz żywą, niezakłamaną rzeczywistością.

Czyż nie stać emigracji w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, Francji, w Kanadzie czy Australii, na tworzenie płodnych ośrodków autentycznego katolicyzmu i patriotyzmu w oparciu o wszechstronnie pogłębioną kulturę chrześcijańską, na organizowanie zdrowych, pulsujących twórczością kuźnic życia polskiego. Tam młodzież emigracyjna miałaby warunki wyładowania bujnej energii i wykazania, że potrafi iść w czołówce pionierów kultury chrześcijańskiej, w ten sposób zapalając swych rówieśników w Kraju do współzawodnictwa w pogoni za tym co naprawdę warte wysiłku i trudu. Jakże przykro, że placówki, które mają ambicje wychowania młodego polskiego pokolenia pionierów kultury chrześcijańskiej, zaledwie wegetują...

Młodzież w Kraju oczekuje pomocy także od emigracji. Ale nie zadowoli się frazeologią ani sentymentalną, choćby i szczerą łezką patriotycznej melancholii czy „patriotycznego" patosu na melodię: „My pierwsza Brygada"... lub „Myśmy przyszłością narodu"... Przyszłością narodu, jest przede wszystkim młodzież w Kraju, bo i ona dąży „do wolności grodu", chce iść „naprzód, a nigdy w tył"; nie da sobie „wyrwać ojczystej mowy", światło zdobyte „poniesie do ludu mas" z fabryk na pola, ze wsi do miast, wszędzie, gdzie troski i smutki; ona rwie się do słońca, rwie się do gwiazd... pieśnią radości i siły.

O. Feliks W. Bednarski o. p.

JAN MICHALSKI

PISARZE I PARTIA

Wrocławski zjazd Związku Literatów Polskich, który odbył się w połowie grudnia, doczekał się zasłużonego rozgłosu w Kraju i na emigracji, a nawet w publicystyce zagranicznej. Bo było to rzeczywiście wydarzenie symptomatyczne, w którym streszcza się przedziwnie skomplikowana sytuacja polityczna i kulturalna po-październikowej Polski. W oczach szerokiej opinii publicznej sprawa przedstawia się prosto: pisarze polscy walczą o wolność słowa, partia chce na myśl twórczą nałożyć kaganiec. To ogólnikowe ujęcie sprawy jest niewątpliwie słuszne, ale pomija wszystko to, co jest charakterystyczne dla obecnego etapu w rozwoju konfliktu „partia — pisarze" w całym obozie komunistycznym, a w szczególności w Polsce, która mimo wszystko zajmuje w tak zwanym „obozie socjalistycznym" pozycję bardzo swoistą. Dlatego warto rozpatrzyć bliżej najpierw tło wrocławskiego protestu ludzi pióra, następnie sam Zjazd i co z tego do tej pory wynikło.

Zauważmy najpierw, że problem „partia — pisarze" jest problemem charakterystycznym dla krajów totalizmu. Pomijając już, że tylko w krajach totalizmu istnieje Partia (jedna — i dlatego przez duże P), również pisarze tylko w krajach totalitarnych tworzą zorganizowaną i świadomą siebie grupę społeczną. W demokracji, owszem, istnieją PEN-Cluby, ale stowarzyszenia literackie wolnego świata nie mają tej zwartości i znaczenia co, dajmy na to, Związek Literatów Polskich. Pisarze zachodni raczej chodzą luzem, raz dlatego, że nikt ich nie organizuje, po drugie, dlatego, że nie mają potrzeby organizowania się. W kraju demokratycznym pisarz może się czuć członkiem tej lub innej grupy zawodowej czy społecznej, ale rzadko i w słabym stopniu czuje się członkiem grupy zawodowej pisarzy. Pisarze rzadko i w słabym stopniu tworzą jakiś jednolity front. W krajach totalizmu jest inaczej. Tam ludzie pióra są zorganizowani, m u s z ą być zorganizowani i są dlatego mocno świadomi przynależności do swego klanu. I tworzą na ogół jednolity front, przede wszystkim wobec Partii. Gdy Partia jest mocna i trzyma za łeb, są całkowicie na usługach Partii. Ostatnio mieliśmy tego przykład w Rosji, gdzie Związek Pisarzy jednogłośnie potępił Pasternaka. Gdy Partia jest słaba — jak w Polsce — pisarze są przeciw Partii. I tym się tłumaczy w dużej mierze na ogół jednolite stanowisko, jakie zajęli uczestnicy wrocławskiego zjazdu. To z grubsza jednolite stanowisko przyznała nawet „Trybuna Ludu", podejmując z nim polemikę w artykule pt. „Potrzebne wyjaśnienia" z 2 stycznia 1959.

Jest rzeczą oczywistą, że ludzie piszący, jeśli tylko mogą, muszą być przeciw Partii. Ich rzeczą jest pisać, a nie można pisać nie myśląc. Tymczasem Partia w sposób mniej lub bardziej konsekwentny zakazuje myśleć, podając zamiast tego pewien gotowy zapas myśli do wykorzystania. Zakres tych gotowych myśli w komunizmie jest bardzo duży, bo dotyczy nie tylko polityki i ekonomii i zagadnień społecznych, ale również zagadnień kultury, stylu, filozofii, nauki i religii. W tych warunkach za Partią są tylko ludzie, którzy nie lubią dużo myśleć albo nie mają talentu, jak Putrament albo Schaff, albo zdolny skądinąd Żółkiewski. Prawie nazajutrz po wrocławskim zjeździe literatów odbyła się w Warszawie Krajowa Narada Działaczy Kultury i Oświaty. Tam obradowali urzędnicy i tam oczywiście wszyscy byli za Partią. Natomiast prawdziwi intelektualiści bronią swojego prawa do myślenia. To znowu tłumaczy na ogół jednolity front we Wrocławiu.

Jest wysoce znamienne, że ten jednolity front objął ludzi o skrajnie odmiennych przekonaniach: od pisarzy katolickich, jak Zawieyski czy Kisiel, po mniej lub więcej przekonanych marksistów, jak Kott, Kołakowski czy Woroszylski. Partię, oczywiście, najwięcej martwi rebelia tych ludzi spod jej własnego marksistowskiego znaku. To jest właśnie ów „czad rewizjonizmu", o którym tak jadowicie mówił Gomułka na XII Plenum Komitetu Centralnego w październiku ub. roku.

Jak ten problem wygląda od strony Partii? Partia, będąc w Kraju w mniejszości i podejmując program zasadniczej socjalistycznej przebudowy społeczeństwa, potrzebuje dobrej propagandy. Potrzebuje dobrych pisarzy, którzy by potrafili jej zjednać wrogie, nieufne, czy wreszcie obojętne społeczeństwo. Jest to dla niej na dłuższą metę kwestia życia i śmierci. Do tego postulatu zasadniczej natury dochodzą doraźne względy polityczne. W prasie sowieckiej coraz częściej rozlegają się ataki na nieortodoksyjne wypowiedzi polskich pisarzy i wołania o ukrócenie śmiałków. Ostatnio nawet powieść tak propagandowa i pro-partyjna jak „Matka królów" Kazimierza Brandysa stała się przedmiotem ataków sowieckich jako nie dość ortodoksyjna. Partia ma zatem tylko dwie drogi do wyboru: albo nałożyć bezwzględną cenzurę i wydać ścisłe instrukcje, co i jak należy pisać, albo zostawić pisarzom pewien margines swobody, a tym samym zrezygnować z forsownej reedukacji społeczeństwa i narazić się na dalsze ataki ze strony sowieckiej.

Obie drogi są dla polskiej Partii nie do przyjęcia. Pierwsza oznaczałaby powrót do potępionej polityki kulturalnego dyktatu z tzw. „minionego okresu". Oznaczałoby to, że wszyscy ludzie z talentem zostaliby zmuszeni do milczenia i Partii zostaliby tylko literaccy aptekarze, wykonujący przepisane recepty. Oznaczałoby to całkowite przekreślenie Października i pociągnęłoby za sobą nieobliczalne następstwa we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Druga droga też jest nie do przyjęcia, bo Partia nie może rezygnować ze swej racji bytu. W rezultacie obecna polityka polega na oscylowaniu między jedną a drugą ewentualnością i jest mieszaniną rozpaczliwego przekonywania i stopniowego zaostrzania cenzury.

Pewien margines swobody nadal istnieje. Istnieje przede wszystkim swoboda słowa mówionego i głośne protesty pisarzy na zjeździe wrocławskim przeciw cenzurze i próbom narzucenia kulturalnego dyktatu są tego najlepszym dowodem. Istnieje kilka wydawnictw, które nie są zależne bezpośrednio od państwa, jak Pallotinum, publikacje grupy „Znak" i wreszcie „Pax", pozycja zresztą całkiem specjalna. Cenzura jest dwustopniowa. Pierwszy stopień stanowią dyrekcje wydawnictw państwowych (większość ruchu wydawniczego idzie oczywiście przez wydawnictwa państwowe); drugi — Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Wydawnictw. Urząd Kontroli miał odrzucić w ciągu bodaj ostatnich dwóch lat około 30 książek, między innymi takich autorów jak Kott, Iwaszkiewicz, Kołakowski i Wygodzki. Ale, jak się zdaje, główny ciężar cenzury przesunął się ostatnio na dyrekcje wydawnictw. W „Czytelniku", PIW-ie i w krakowskim Wydawnictwie Literackim usunięto szereg ludzi i wprowadzono nowy reżym. I dyskusja na zjeździe wrocławskim oraz polemika pozjazdowa między „Trybuną Ludu" a Słonimskim (który jest prezesem Związku Literatów Polskich) dotyczyła przede wszystkim cenzury wykonywanej na szczeblu wydawnictw.

Ta polemika dotyka, ale nie wyjaśnia, jednego z zasadniczych absurdów, w jakie obfituje pozycja pisarza w ustroju totalnym. „Trybuna Ludu" w swym artykule z 2 stycznia zarzuciła uczestnikom zjazdu wrocławskiego, że domagają się, by „nasza prasa literacka i nasze wydawnictwa miały być z góry zobowiązane — bez zastanowienia i możności wyboru — do publikacji wszystkiego cokolwiek ktokolwiek w jakikolwiek sposób zechce napisać". Słonimski w liście do redakcji (ogłoszonym w numerze z 8 stycznia) zaprotestował przeciw tej insynuacji, stwierdzając, że żaden z uczestników zjazdu nie zajął tak absurdalnego stanowiska. Zjazd wrocławski — jak pisze Słonimski — wyrażał natomiast zaniepokojenie z powodu niemożności odwoływania się od często niesłusznych decyzji cenzury i wydawnictw. Redakcja „Trybuny" zaopatrzyła list Słonimskiego własną repliką, w której stwierdza, że „szereg mówców na zjeździe wrocławskim występowało nie tylko przeciw działalności cenzury, ale przeciw samej zasadzie istnienia cenzury (Jastrun, Hertz, Słonimski i in.)" i że ten zasadniczy sprzeciw przeciw wszelkiej cenzurze obejmował również selekcyjną działalność wydawnictw.

„Trybuna" mogła imputować uczestnikom zjazdu stanowisko istotnie absurdalne tylko dlatego, że w ustroju komunistycznym zostały pomieszane funkcje selekcji i cenzury. Wydawnictwa niewątpliwie mają prawo selekcji utworów, które chcą drukować, ale ponieważ to są instytucje państwowe, pod zaostrzoną obecnie kontrolą partyjną, w przeprowadzaniu selekcji decydują nie względy na artystyczną, myślową czy ostatecznie komercjalną wartość dzieła, ale względy ideologiczno-polityczne. Tym samym selekcja równa się cenzurze. W demokratycznym kraju pisarz, nie znalazłszy uz-

nania w jednym wydawnictwie, idzie do drugiego i trzeciego, a w ostateczności wyda swą rzecz własnym nakładem. To jest ze strony wydawnictw selekcja, która nic nie ma wspólnego z cenzurą. W komunizmie natomiast obie te funkcje zostały pomieszane i rezultatem oczywiście jest absurd. Ciekawe, że Słonimski przy całej swej odważnej i pełnej godności postawie nie zwrócił uwagi na rzecz tak oczywistą. Czyżby właśnie cenzura redakcji „Trybuny"? Być może, że taką myśl mógłby wypowiedzieć, ale nie mógł jej w liście przeznaczonym do druku napisać.

Prawdą jest, że wiele poważnych głosów na zjeździe wrocławskim istotnie domagało się całkowitego zniesienia cenzury, w każdym razie w stosunku do twórczości artystycznej w odróżnieniu od publicystyki politycznej. Zwracano uwagę, że cenzura jest w każdym razie bezprawiem, bo jest sprzeczna z obowiązującą konstytucją. Jeśli te wystąpienia zwracały się — jak się zdaje — zwłaszcza przeciw cenzurze wykonywanej przez wydawnictwa i jeśli Partia właśnie na szczeblu wydawnictw przykręciła śrubę, to chyba dlatego, że cenzura na szczeblu wydawnictw jest najboleśniejsza dla pisarzy marksistowskich, bliskich partii ideologicznie, choć niekoniecznie politycznie, bo są to „rewizjoniści". Pisarze nie mający nic wspólnego z marksizmem mają pewną furtkę w kilku wydawnictwach licencjonowanych, ale nie państwowych i poza tym nie ocierają się w swym piśmiennictwie o drażliwe zagadnienia komunistycznej ortodoksji; dzięki temu łatwiej im nieraz przecisnąć się przez ucho igielne cenzury Urzędu Kontroli Wydawnictw i Prasy. Pisarze marksistowscy, pisarze mniej lub więcej szczerze oddani sprawie „budowy socjalizmu" są skazani na wydawnictwa państwowe. Partia zatem przywołuje do porządku przede wszystkim swe własne dzieci. Ale dialektyka życia w demokracji ludowej jest tego rodzaju, że margines swobody w ogóle pozostaje w prostej zależności od stopnia wolności myśli w Partii i na jej peryferiach. Dlatego obecny konflikt wszystkich musi napawać troską. Pisarze ryzykują wiele stając odważnie w obronie tego, co jest najcenniejsze dla nich i dla wszystkich czytających i nawet nieczytających. Ale z drugiej strony nie widać, jak Partia, mając do czynienia ze społeczeństwem tak dojrzałym, może się wygrzebać ze swego dylematu.

Jan Michalski

KS. W. URBAN (Wrocław)

Kościół na Ziemiach Zachodnich

Naród polski w porównaniu z innymi wycierpiał podczas drugiej wojny światowej bardzo wiele, choć dzisiejszy świat nie zawsze chce o tym pamiętać. W wyniku zakończenia wojny granice Polski uległy przesunięciu ku zachodowi i zostały oparte o Odrę i Nysę Łużycką oraz szeroki dostęp do Bałtyku. Przed wyczerpanym i osłabionym narodem stanął szereg problemów niezmiernie trudnych. Trzeba było dźwigać z ruin spalone i zniszczone wsie i miasta, uruchomić zdewastowany przemysł. Należało także i przede wszystkim ratować duszę narodu tak niemiłosiernie dławioną w latach okupacyjnych. Ogrom trudności potęgowało i to, że trzeba było prowadzić akcję przesiedleńczą milionów ludności, nieznaną w Europie na taką skalę od czasów wędrówek ludów.

Te trudności dzielił z narodem Kościół katolicki na Ziemiach Zachodnich, na których do roku 1945 przeważał protestantyzm z wyjątkiem terenów Opolszczyzny, gdzie zachował się i język polski i katolicyzm. Pamiętać też trzeba, że Kościół miał działać w państwie socjalistycznym.

ŻNIWO I ROBOTNICY

W 1945 roku na Ziemiach Zachodnich było naprawdę „żniwo wielkie" a robotników mało. Wołanie o katolickiego kapłana było powszechne. Ludzie odprawiali nowenny w celu uproszenia sobie katolickiego kapłana. Zdarzały się i takie fakty, że pytano pilnie konduktorów, czy przypadkiem w pociągu nie znajduje się jaki kapłan katolicki. Jeśli odpowiedź była pozytywna, zabierano bagaże kapłana, prowadzono go z radością do wiosek czy miasta i mówiono „mamy księdza". Liczba katolickiej ludności na Ziemiach Zachodnich stale się zwiększała. Napływały coraz to nowe fale ludności polskiej, repatriantów zza Buga, z głębi Rosji, z Francji.

Najwyższe czynniki kościelne w Polsce stanęły wobec palącego zadania — zorganizowania życia religijno-kościelnego na odzyskanych terenach. Należało stworzyć zręby polskiej administracji kościelnej. Należało ratować przed dalszą zagładą niszczejące kościoły, odbudowywać popalone świątynie, ocalić konkretne zabytki kulturalne i rozwinąć szeroko pracę duszpasterską wśród ludności polskiej, dotkliwie skrzywdzonej przez lata wojny.

Dziś, z perspektywy kilku lat, musimy przyznać, że ówczesny Prymas Polski, ks. kardynał August Hlond, miał dalekosiężne spojrzenie i ocenił dobrze powojenną rzeczywistość, wydając w Gnieźnie w oparciu o upoważnienie Stolicy Apostolskiej (dekret Kongregacji dla Spraw Nadzwyczajnych z 8. 7. 1945 r.) słynny dekret z 15. 8. 1945 r. ustanawiający na Ziemiach Zachodnich pięć kościelnych jednostek administracyjnych, mianowicie administracje apostolskie w Gdańsku, Gorzowie Wielkopolskim, Olsztynie, Opolu i Wrocławiu. W Gdańsku objął władzę ks. dr Andrzej Wronka, w Gorzowie Wielkopolskim ks. dr Edmund Nowicki, w Olsztynie ks. dr Teodor Bensch, w Opolu ks. dr Bolesław Kominek, we Wrocławiu ks. dr Karol Milik. Położyli oni niespożyte zasługi w dziele stabilizacji życia kościelno - narodowego i kulturalnego w trudnych powojennych czasach.

ORGANIZACJA

Do pierwszych sukcesów działalności Kościoła katolickiego na Ziemiach Zachodnich możemy zaliczyć organizację życia kościelnego. Dokonywała się ona wśród ogromu trudności, które dzisiaj zacierają się w pamięci. Większość kościołów, bez których trudno mówić o właściwym funkcjonowaniu życia liturgicznego, była zniszczona. Do szczęśliwych, nielicznych jednak wyjątków należały takie ośrodki, z którymi wojna obeszła się łaskawie i nie tknęła „gniewem niszczenia" wiekowych zabytków kościelnej sztuki. W początkowej fazie księża musieli niejednokrotnie z powodu braku kościołów odprawiać Msze św. i inne nabożeństwa w domach prywatnych, dawnych przedszkolach, willach, barakach, stodołach, stajniach, bo lud polski błagał o Chleb Eucharystyczny w nowym bojowaniu i codziennym trudzie.

Władze państwowe nie stawiały wtedy trudności w tym względzie. Do dziś zachowały się jeszcze takie kaplice urządzone w domach czy gospodach prywatnych, zwłaszcza w osiedlach oddalonych od kościoła parafialnego. Można oglądać swego rodzaju osobliwości, jak w jednej połowie budowli mieści się kaplica katolicka, a w drugiej sklep spółdzielczy lub agencja pocztowa; wszystko w wielkiej harmonii.

W pierwszych miesiącach pokapitulacyjnych 1945 roku były bardzo ciężkie warunki aprowizacyjne i komunikacyjne. Opowiadał niedawno jeden proboszcz parafii dolnośląskiej, który należał do pierwszych na tych obszarach duszpasterzy polskich po wojnie, że w lipcu 1945 roku otrzymał od ludności autochtonicznej w formie stypendium mszalnego parę kilogramów ziemniaków.

Niejeden kapłan musiał wtedy obsłużyć 20 do 30 wsi, czasem i więcej, niekiedy cały powiat. Dlatego też siły kapłanów, z których wielu przebywało podczas wojny w obozach koncentracyjnych, szybko się wyczerpywały.

Dzięki pracy administratorów apostolskich i trudowi ofiarnych kapłanów ewangeliczna siejba na Ziemiach Zachodnich wydawała piękne plony. Na spustoszonej i spopielałej ziemi zatętniło życie religijne.

Chociaż 26 stycznia 1951 roku nastąpiła zmiana na kierowniczych stanowiskach w zorganizowanych ordynariatach Ziem Zachodnich i władzę przejęli w charakterze wikariuszów generalnych nowi kapłani, praca religijno-organizacyjna posuwała się naprzód. Pracowały w pełni referaty kurialne: szkolne, duszpasterskie, sztuki kościelnej, archiwalno-muzealne, sądy duchowne.

BISKUPI I SEMINARIA

Zasadniczy postęp w stabilizacji kościelnego życia na Ziemiach Zachodnich nastąpił w 1956 roku, gdy władzę kościelną przejęli konsekrowani biskupi: we Wrocławiu — ks. biskup dr Bolesław Kominek, w Opolu — ks. biskup dr Franciszek Jop, w Gorzowie Wielkopolskim — ks. biskup dr Teodor Bensch

(zmarł w 1958 r., biskupem gorzowskim został ks. dr Wilhelm Pluta), w Olsztynie — ks. biskup dr Tomasz Wilczyński, w Gdańsku — ks. biskup dr Edmund Nowicki. Biskupem sufraganem we Wrocławiu został ks. biskup dr Andrzej Wronka.

Kapłani na Ziemiach Zachodnich byli misjonarzami, wykazując ducha wielkiego poświęcenia. Na niwie pracy kościelnej trudzili się ofiarnie również liczni zakonnicy. Dla zapewnienia rozwoju i ciągłości pracy duszpasterskiej w każdej diecezji, konieczny jest regularny przyrost własnego duchowieństwa diecezjalnego. Zadania te spełniają Seminaria Duchowne. Na Ziemiach Zachodnich na odcinku uruchomienia seminariów musiano pokonać bardzo wiele trudności. W samej stolicy dawnej archidiecezji wrocławskiej gmach Seminarium Duchownego był zniszczony, a inne przeznaczone na cele niekościelne.

Konieczność uruchomienia seminariów była paląca. Początki były pionierskie. Pierwszy rektor powojenny Seminarium Duchownego we Wrocławiu, ks. dr Józef Marcinowski mieszkał przez szereg miesięcy w piwnicznych suterenach i odbudowywał gmach dla alumnów. Ks. rektor Seminarium Duchownego w Opolu-Nysie, zmarły w październiku 1958 r., dr Jan Tomaszewski przedwcześnie stargał serce na tym odpowiedzialnym stanowisku. We Wrocławiu otwarto w 1946 roku Małe Seminarium, a następnie w 1947 r. Wyższe Seminarium Duchowne. Podobnie było w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie początkowo powstało w 1946 r. Niższe Seminarium Duchowne, później także w Słupsku i we Wschowie, a otwarcie Wyższego Seminarium w Gorzowie nastąpiło w 1947 r. Aktu otwarcia dokonał ks. kardynał August Hlond. W 1952 r. przeniesiono z Gorzowa pierwsze trzy lata studiów — jako wydział filozoficzny — do klasztoru pocysterskiego w Gościkowie-Paradyżu. W Gorzowie pozostał tylko wydział teologiczny. Podobnie zorganizowano Seminaria Duchowne w Olsztynie i Opolu. Później przeniesiono z Opola cztery niższe kursy do prastarej rezydencji wrocławskich biskupów w Nysie, umieszczając Seminarium w odbudowanym gmachu dawnych bożogrobców, a w Opolu pozostał tylko kurs ostatni. W 1957 roku, dzięki staraniom ks. biskupa dra Edmunda Nowickiego, otwarto Seminarium Duchowne w Gdańsku.

W dziedzinie przygotowania katechetek wiele dobrego zdziałał na Ziemiach Odzyskanych prowadzony przez ks. dra Józefa Wojtukiewicza Instytut Katolicki, mający swą siedzibę najpierw we Wrocławiu, następnie w Trzebnicy i Bentkowie, ostatnio przeniesiony do Gietrzwałdu. Pożyteczną działalność zaczął także rozwijać otwarty we Wrocławiu przez ks. biskupa dra Bolesława Kominka Katolicki Instytut Naukowy. Żywym zainteresowaniem katolickiej społeczności cieszy się Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ostatnio zaczęło rozwijać się Polskie Towarzystwo Teologiczne.

W dziedzinie duszpasterskiej praca była wytężona. Liczne rekolekcje, misje, katechizacje, nauka religii, niekiedy do 50 godzin tygodniowo na jednego kapłana, kazania, udzielanie sakramentów... Bogata też była działalność na polu chrześcijańskiego miłosierdzia, która wydatnie pomogła ludności wrastającej w Ziemie Zachodnie.

Sprawa odbudowy zniszczonych w czasie działań wojennych świątyń postępuje. Symbolem jej jest podniesiona z gruzów, dzięki ofiarom społeczeństwa i dotacjom państwowym, katedra we Wrocławiu, z jej pięknym wystrojem wnętrza, czy kościół św. Jakuba w Nysie, czy też Najśw. Maryi Panny w Gdańsku. Wiele pracy i pieniędzy włożono w zabezpieczenie kościołów zabytkowych na Ziemiach Zachodnich.

Dzięki tym wysiłkom życie religijne na Ziemiach Zachodnich rozwija się i jest świadectwem żywej wiary narodu.

Ks. W. Urban

ST. CZECHANOWSKI

WESTFALSKIE RODACTWO

Na obszarze byłej Rzeszy Niemieckiej rozwijało się przed wojną bujne życie społeczno - organizacyjne półtoramilionowej rzeszy Polaków-obywateli niemieckich, mieszkających na należących dziś do Polski Ziemiach Odzyskanych i na klasycznych terenach emigracyjnych, jak Westfalia, Nadrenia, Hamburg, Mannheim, Lipsk itp. Wojna, eksterminacyjna polityka rządów hitlerowskich, więzienia i obozy koncentracyjne, a wreszcie przejścia historycznych ziem polskich pod władzę polską zniszczyły — zdawało się całkowicie i ostatecznie — zręby organizacyjne pozostałych w granicach Niemieckiej Republiki Federalnej Polaków. Podjęte po wojnie wysiłki pozostałych przy życiu działaczy, odtworzenia polskiej działalności organizacyjnej w Westfalii i Nadrenii nie rokowały wielkich nadziei. Pozostało na tych obszarach wprawdzie ponad sto tysięcy Polaków, zabrakło jednak dostatecznego zastępu doświadczonych działaczy, zabrakło oparcia w postaci dawnych ośrodków działania polskiego, a przede wszystkim pieniędzy. Cały majątek w gotówce, w ruchomościach i nieruchomościach, wynoszący miliony przedwojennych marek niemieckich, uległ konfiskacie, a rząd federalny nie kwapił się, by — choćby w ramach obowiązujących praw odszkodowawczych — naprawić krzywdę — przynajmniej materialną — swoich obywateli polskiej narodowości. Życie polskie w Niemczech — wydawało się jeszcze niedawno temu skazane na wymarcie.

Kto tak sądził, nie znał jednak uporu i wytrwałości starych Polonusów westfalskich, nie doceniał przede wszystkim ich gorącego umiłowania kraju ojczystego, ich przywiązania do wiary i języka ojców. Nie docenił w szczególności siły moralnej i charakteru Stefana Szczepaniaka, starego działacza i prezesa Związku Polaków. Po zmarłym na kilka miesięcy przed wojną ks. dr. Domańskim (z Zakrzewa w Ziemi Złotowskiej), objął on przewodnictwo zagrożonego przez hitleryzm i bliską wojnę życia polskiego w Niemczech; przetrwał wojnę mimo prawie sześcioletniej kaźni w obozach hitlerowskich. Bez względu na trudności, stawiane mu przez swoich i obcych, przez Niemców i okupantów, przez komunistycznych reformatorów i warchołów we własnych szeregach, wywalczył przed sądami niemieckimi uznanie osobowości prawnej zlikwidowanego przez nazistów Związku, starając się odtworzyć szeregi dawnych, pozostałych przy życiu członków i natchnąć je nowym duchem walki o „wiarę i język" na obczyźnie. Dziesięć lat trwało to — zdawało się bezcelowe — zmaganie się z przeciwieństwami losu. Wysiłki nie poszły jednak na marne. Związek okrzepł w siły, wywalczył sobie uznanie i szacunek u swoich, u Niemców i w Kraju. Od roku przeszło zaczyna rozwijać ożywioną działalność. Zeszłoroczny zjazd, zwołany z okazji 35-lecia istnienia Związku, był potężną manifestacją starej Polonii westfalskiej, był też dowodem jej siły, której żadne przeszkody, straty i zawody nie zdołały podważyć.

Po sukcesie zjazdowym wystąpiono na terenie międzynarodowym. Na zjeździe Federalistycznej Unii Europejskiej Grup Narodowościowych w Insbruku, w czerwcu roku ubiegłego, wystąpił prezes Szczepaniak z programowym przemówieniem, przypominającym światu istnienie mniejszości polskiej na obszarze NRF, kreślącym jej zadania kulturalno-społeczne i precyzującym postulaty pod adresem władz niemieckich w zakresie pomocy kulturalnej a przede wszystkim na odcinku rewindykacji strat materialnych zadanych organizacjom polskim przez władze niemieckie. Przemówienie to było transmitowane przez radio austriackie. Spotkało się ono z żywym oddźwiękiem zarówno w Kraju jak w zachodnich Niemczech. Prasa szwajcarska, włoska, francuska i angielska poświęciła potrzebom Polaków w Niemczech dużo uwagi, i co najważniejsze: władze federalne w Bonn uświadomiły sobie wreszcie fakt istnienia mniejszości polskiej i zaczęły się zastanawiać nad rozwiązaniem problemu tak długo zupełnie zaniedbanego. Posypały się listy, wywiady prasowe i sugestie, ale praktycznie w dalszym ciągu niczego nie załatwiono, mimo że w kilka miesięcy później prezes Szczepaniak sprecyzował swe postulaty na posiedzeniu władz Federalistycznej Unii w Strassburgu.

Związek przystąpił wobec tego do bezpośredniego działania. W grudniu 1958 roku złożony został przez władze Związku rządowi niemieckiemu w Bonn obszerny memoriał precyzujący całokształt problematu Polaków-obywateli niemieckich i wysuwający konkretne postulaty pod adresem czynników w Bonn. Memoriał ten zatytułowany „Denkschrift an die Bundesregierung der Bundesrepublik Deutschland über die Situation der polnischen Minderheit in der Bundersrepublik" jest aktem o pierwszorzędnym znaczeniu i przejdzie niewątpliwie do historii nie tylko Polaków w Niemczech, ale

i do historii niemieckiej polityki mniejszościowej. Składa się z siedmiu rozdziałów.

W części pierwszej i drugiej omawia pokrótce genezę i historię polskiego wychodźstwa zarobkowego w zachodnich Niemczech. Ponad pół miliona Polaków z Poznańskiego, Pomorza, Śląska i Prus Wschodnich przybyło po wojnie prusko-francuskiej (1870-1) na zachód Niemiec, przyczyniając się wkładem swojej pracy do rozkwitu przemysłowego Niemiec. Polacy ci stworzyli imponującą sieć organizacyjną stowarzyszeń kulturalnych, społeczno-gospodarczych i zawodowych. Sam Związek Zawodowy polskich górników i metalowców liczył ponad 60.000 członków, 300 polskich stowarzyszeń kościelnych obejmowało ponad 20.000 członków. Pielęgnowaniem pieśni polskiej zajęło się 138 stowarzyszeń śpiewu zrzeszających 8.500 czynnych śpiewaków. Ponadto istniały w Westfalii polskie pisma codzienne, drukowane we własnych polskich drukarniach, banki spółdzielcze, domy towarowe, warsztaty rzemieślnicze itd.

Po pierwszej wojnie światowej, po przyłączeniu Poznańskiego, Pomorza i części Śląska do Polski i po częściowej reemigracji elementu polskiego do kraju ojczystego, powstał Związek Polaków w Niemczech jako centralny czynnik polskiego życia społecznego w Niemczech. Bilans polskiego dorobku organizacyjnego w przededniu drugiej wojny światowej wyrażał się — według wspomnianego memoriału — w 60 polskich szkołach powszechnych, w 16 ochronkach, 115 kursach języka polskiego, 2 gimnazjach, 3 bursach studenckich, 35 spółdzielniach bankowych i rolniczych, 4 drukarniach, 14 czasopismach i wielu innych urządzeniach kulturalno-społecznych.

Dalsze rozdziały memoriału dają bilans terroru hitlerowskiego. Wszystkie organizacje i instytucje polskie zostały z chwilą wojny rozwiązane i majątek ich skonfiskowany. 1200 członków polskich organizacji znalazło się w obozach koncentracyjnych, 136 spośród nich zginęło w obozach i więzieniach, nie licząc strat wywołanych działaniami wojennymi.

Powołując się na przepisy konstytucji zachodnio-niemieckiej gwarantującej równe prawa wszystkim obywatelom, bez względu na ich przynależność narodową, zgłasza Związek Polaków następujące 4 zasadnicze postulaty pod adresem centralnych władz NRF:

1. Uruchomienie polskiego szkolnictwa mniejszościowego na koszt krajowych funduszów publicznych.

2. Odszkodowanie dla byłych ofiar terroru hitlerowskiego i usunięcie w ustawodawstwie wszystkich dotychczasowych przepisów, względnie praktyk dyskryminacyjnych w stosunku do działaczy mniejszości polskiej.

3. Odkszodowanie za skonfiskowany majątek zlikwidowanych na początku wojny organizacji polskich. Majątek ten przedstawiał wartość 3-4 milionów marek przedwojennych. Zaledwie 40.000 dotychczas wypłacono Związkowi zaliczkowo. Związek domaga się w tym zakresie jednorazowej decyzji globalnej i prosi o szybkie uruchomienie przysługujących mu sum w celu stworzenia kapitału zakładowego niezbędnego na cele inwestycyjne obecnego życia polskiego.

4. Związek domaga się wreszcie powołania przy władzach centralnych w Bonn specjalnego wydziału dla spraw mniejszości polskiej, który posiadałby kompetencje rozpatrywania całokształtu spraw związanych z istnieniem i rozwojem ponad stutysięcznej rzeszy Polaków-obywateli niemieckich.

Złożenie memoriału odbiło się żywym echem wśród opinii niemieckiej. Pisma zachodnich Niemiec podały obszerne jego streszczenia odnosząc się życzliwie do wysuniętych w nim postulatów. Dalszy los ich zależy od decyzji rządu zachodnio-niemieckiego dla którego nadarza się okazja praktycznego okazania swej obecnej postawy w stosunku do Polaków.

Energiczne wystąpienia Związku Polaków w Niemczech na przestrzeni ostatniego roku świadczą o godnej podziwu prężności tej organizacji a także o jej twardej woli zapewnienia należytej opieki polskiemu życiu społecznemu i kulturalnemu w Niemieckiej Republice Federalnej.

St. Czechanowski

KS. JANUSZ ST. PASIERB

MADONNY PIRENEJSKIE

Z okazji obchodów stulecia w Lourdes zorganizowano cztery wystawy sztuki religijnej i kościelnej regionu pirenejskiego. W muzeum im. Goyi w Castres — wystawę „Saints du Languedoc et des Pyrénées", na którą złożyło się około 200 dzieł przedstawiających Świętych bądź pochodzących z południowej Francji, bądź szczególnie w niej czczonych. Muzeum Sztuk Pięknych w Pau urządziło wystawę „L'art religieux en Pays Basque, Béarn et Bigorre", dając najbardziej typowe przedmioty kultu i sprzęt liturgiczny z kościołów górnych i dolnych Pirenejów. Muzeum Sztuk Pięknych w Tarbes przygotowało wystawę „La Madone à travers les âges"; zgromadzono tam 30 najwybitniejszych dzieł sztuki maryjnej z różnych muzeów francuskich.

Nawiększy ciężar gatunkowy posiadała jednak wystawa, którą urządzono w samym Lourdes, „La Vierge dans l'art et la tradition populaire des Pyrénées" w Musée Pyrénéen, mieszczącym się w górującym nad miastem zamku. Budziła zainteresowanie nie tylko historyków sztuki i kultu czy etnografów, ale i szerokiego ogółu, dając plastyczny obraz zespołu ludowych pojęć religijnych, odnoszących się do kultu Matki Boskiej w kraju, z którego wyszła św. Bernadeta, „une paysanne grossière et sans instruction", jak ją określiła niefortunna nauczycielka i późniejsza mistrzyni nowicjatu, Maria Teresa Vauzous.

Wystawa miała charakter międzynarodowy. 14 publicznych zbiorów francuskich i tyleż hiszpańskich wystawiło 182 pozycje, zbiory prywatne 8; z kościołów i sanktuariów Francja dostarczyła 62, Andorra 4, a Hiszpania 3 eksponaty.

Charakter regionalny podkreślony został zarówno w ekspozycji, jak i w katalogu, gdzie zabytki zgrupowano topograficznie, poczynając od rzeźby. Bigorre reprezentowana jest 19 rzeźbami (XII - XIX w.). W grupie tej zwraca uwagę Matka Boska Karmiąca z Castelnau — Magnoac (XV wiek), rzadkim w epoce szczegółem ikonograficznym: Dzieciątko nie jest nagie, lecz owinięte w pieluszki. Podobna do znanej Madonny z Lowanium „Notre-Dame-du-Bon-Port" z Gavarnie (XIV w.) nie trzyma w dłoni zwykłego artybutu, jabłka, lecz tykwę, jaką posługiwali się nawiedzający to sanktuarium pielgrzymi. Béarn i Gaskonia wystawiają 7 rzeźb (XV - XVIII w.) przeważnie posiadających już miejsce w literaturze naukowej. Dotyczy to zwłaszcza renesansowej, uczesanej à la Junona Madonny z Dzieciątkiem z Arzacq czy Madonny z Bétharram. Region Aragonia — Nawarra dostarczył 8 rzeźb (XII - XVIII w.), a Comminges i dolina Garonny aż 22 z tej samej rozpiętości czasowej. Ciekawa pod względem stylistycznym „Notre Dame de Mieje-Coste" (XVIII w.) reprezentuje typ znany we francuskiej historiografii sztuki pod mianem „Vierge en chemise". Takie ludowe Madonny charakteryzuje bryłowatość klocowato potraktowanej sylwetki, przy czym snycerka ogranicza się właściwie do głowy i jakby przyszytych do korpusu dłoni. Oryginalna w kontekście regionalnym jest osiemnastowieczna „Notre Dame du Bien" z Génos, bez Dzieciątka. Losy jej są ciekawe: pierwotnie czczona była w kapliczce w pobliżu Génos, na szczycie porosłej lasem góry; z początkiem naszego stulecia kult wygasł i figurka zapewne podzieliłaby los rozpadającej się w gruzy kapliczki, gdyby nie została przeniesiona do kościoła parafialnego w Génos. Z przydrożnej kapliczki pochodzi urocza w ludowym nagromadzeniu ech przebrzmiałych stylów „Madonna Polna" (XVIII w.), znajdująca się obecnie w kościele parafialnym w Monréjeau. Niestety, podobnie jak u nas, w Polsce, miejsce tych wzruszających kapliczkowych Madonn zastępuje tandetna produkcja fabryczna. Pietà z Gaud, z przełomu renesansu i baroku, to

zarówno w typie urody jak i stroju góralka z Comminges, o wyrazistych, nieregularnych rysach, ubrana w spięty na piersiach kapulet. Obejmuje małe, jakby dziecinne ciało Ukrzyżowanego, gestem kołysania do snu.

Górna Langwedocja dała zaledwie cztery rzeźby, są to jednak dzieła bardzo wybitne. Dość wymienić dwunastowieczną tronującą Madonnę z Musée des Augustins w Tuluzie, analogiczną do Madonny z zachodniego portalu w Chartres (ok. 1150 r.) i nieco późniejszą z portalu św. Anny w paryskiej Notre Dame. Cztery rzeźby reprezentują Pays de Foix i Cousserans (XII - XVI w.), a 7 Pays d'Aude. Spośród dziewięciu rzeźb katalońskich (XII-XIX w.) wyróżnia się romańska Madonna z Hix, przewyższająca o klasę swoje krajanki. Romańska Madonna z Prats-Balaguer jest interesująca z innego względu: pokryto ją bowiem bardzo rzadko stosowaną w polichromowaniu rzeźb „colradurą", cynfolią werniksowaną na kolor złota. W tejże grupie znajduje się jedyna na wystawie Madonna Szafkowa z XX w., pochodząca z Palaudel-Vidre.

Na czele eksponatów z Andorry postawić trzeba rzeźbę „Nostra Senyora de Meritxell", najstarszą chyba rzeźbioną Madonnę pirenejską. Datę jej powstania umieszcza się między VIII a XI wiekiem. W roku 1873 ogłoszono ją patronką Andorry. Zagadkowa jest ikonografia Madonny romańskiej z Santa Colonna, siedzącej na tronie, groźnie nachylonej ku przodowi. Wedle interpretacji popularnej trzyma ona w dłoni naczyńko z lekarstwem, lecz prawdopodobnie jest to kielich lub Graal. Prawe ramię Dzieciątka, nieproporcjonalnie duże, symbolizuje zapewne spotykaną w ikonografii romańskiej opiekuńczą moc, „dextera maiestatis" — „bras long", może jednak być to po prostu wynikiem przerysowania pozy.

Region Moulages reprezentowały, na wystawie trzy romańskie tympanony. Wspaniała — bujna i zwięzła zarazem, horyzontalnymi fałdami szeroko rozbudowana postać „Vierge de Majesté z Saint-Aventin zdumiewać musi w portalu wiejskiego kościółka, a „Pokłon trzech Mędrców" dziwi już samą obecnością tego tematu w romańskim tympanonie i postacią biskupa-fundatora u boku Madonny.

Obrazy sztalugowe i freski stanowiły zaledwie 18 pozycyj wystawy. Apokryficzny temat „Kąpieli Dzieciątka Jezus" przedstawia jedenastowieczne malowidło z karolińskiego kościoła w Vals, sięgające stylistycznie sztuki bizantyjskiej, której inspiracji na francuską romańszczyznę poświęcono wystawę w Bibliothèque Nationale w Paryżu, obejmującą iluminowane rękopisy od XI do XV w., zatytułowaną „Byzance et la France médiévale". Z XII stulecia pochodzi fresk przedstawiający „Narodziny Dzieciątka" z Saint-Martin-de-Fenouillard; reszta eksponatów reprezentuje gotyk i renesans.

Osiemnaście wystawionych rycin pochodzi z XVII i XVIII wieku; są to drzeworyty związane tematycznie z poszczególnymi sanktuariami maryjnymi, jak Montserrat, Garaison, Bétharram, Aranzazu i in.

Dwie kapy i dwa renesansowe ornaty reprezentowały haft, złotnictwo zaś — gotyckie retabulum ołtarzowe i mała Madonna z Roncevaux (ok. 1300 r.), dwa renesansowe krzyże procesjonalne (po jednej stronie Chrystus Ukrzyżowany, po drugiej Madonna z Dzieciątkiem) i dystynktorium kanonickie. Wystawiono również dwa kute w żelazie gotyckie krzyże z Katalonii.

Ciekawą i rzewną grupą były wota, przejawy pobożności ludowej. Wśród nich, jakże charakterystyczne dla tych pogranicznych okolic, ex voto kontrabandzistów, wypożyczone przez Muzeum Folkloru Katalońskiego w Ripoll. Sporo tu również różnych figurek, medalionów, malutkich kapliczek noszonych na piersiach („capelleta"), feretronów („cadiréta") itp.

Wystawę zamykało 6 rękopisów z XV wieku i tyleż dokumentów archiwalnych (XI-XVII w.), 5 książek z XVII w. oraz panneau dekoracyjne Jeana Valmier zatytułowane „Les Pyrénés mariales".

Katalog wystawy poszerzony został o kilka artykułów: B. Duhurcau pisze na temat „Les Vierges de la Bigorre, du Béarn et du Pays Basque", A. Allegre — „Les Vierges du Comminges", M. Durliat — „Les Vierges Romanes Catalanes", J Alnaud de Lasarte — „Iconographie mariale des Pyrénées", a J. Deloncle — „Le culte marial, ses traditions populaires en Roussillon". Dzięki nim katalog nabiera charakteru compendium wiadomości o ikonografii i kulcie Matki Boskiej w Pirenejach. Całe przedsięwzięcie było wyrazem hołdu wobec Tej, która zawsze jest natchnieniem twórców, stających przed Nią w pokornym zadziwieniu: „Sancta et immaculata virginitas, quibus te laudibus efferam nescio".

Ks. Janusz St. Pasierb



Madonna z Meritxell

BEATA OBERTYŃSKA

Nów nad łąkami

Mlaska łąka o zmroku
ciepłą wodą w potoku,
co muliste podlizuje węgły,

a nad łąką się srebrzy
wąski, niczym liść wierzby,
wiotki wietek — nów ledwie wylęgły...

Nowik ledwie wykłuty,
w srebrną ciżmę obuty,
drugą w wodę strzepnął, jak półgłupek...

Plusła w zakręt z wysoka,
ale nim się rozmokła
w sto tańczących stłukła się skorupek...

Pejzaż

Kiedy się bure chmury
daleką burzą zaniosły —
zbielały owsy.

Kiedy się burza tocząc
wwijała pod siebie cieniem —
zaszkliły się jęczmienie.

Kiedy garbata grzmotem
dudniła jak z dna beczki —
chuchnęły miodem hreczki,

aż gdy nad karkiem boru
starła się z chmur Lewiatanem
wypruł się z niej zielono piorun!
— Źdźbło połamane...

Pochwała

Niepojęta kolistość bytu
któż pochwałę twą zdoła wyśpiewać?!

W drzewie taisz możliwośś okwitu.
W kwiecie taisz możliwość owocu
a w owocu znów możliwość drzewa.

Niepojęta kolistości bytu!
Z siebie płyniesz i w siebie się wlewasz...

Czas

I

Bolisz mnie tajnie, głębinnie,
zbyt straszliwie by mówić ci o tym —
ty co wszystko powoli zabijasz,
ty co wszystko zapełniasz z powrotem...
Wciskający się zawsze i wszędzie,
który tym trwasz jedynie — że mijasz,
który jesteś — który jeszcze będziesz,
jakże mnie bolisz głębinnie...

Czy to wtedy, gdy tętnisz w zegarze,
czy gdy gwiazd złote wiry rozcierasz,
kiedy deszczem podzwaniasz mi w rynnie,
kiedy się kto rodzi, czy umiera,
gdy bruzdami znajome tniesz twarze,
wiek za wiekiem jak skiby odkładasz...
Kiedy płynnie, sennie, bełkotliwie
jakaś woda po kamykach gada,
kiedy wiem, że mnie warstwą przypada
chwil bezszelestne igliwie

bolisz mnie! Bolisz do kości,
bolisz — aż w oczach mi ciemno
— straszliwszy, niż pojąć da się —
który jesteś za mną i przede mną,
który jesteś we mnie i poza mną,
który jesteś — choć nie ma cię właśnie —

ty — w chwil srebro skroplona Wieczności —
Czasie!

II

Pokłon tobie, co żaden byt ci się nie oparł!
Pozdrawiam cię — z wichrami mknący ramię w ramię
i w cisz najbłękitniejszych rozemglony opar,
czasie — dęty jak powiew — a ciężki jak pamięć,
czasie wodo — co szkliście przegładziwszy kamień
idziesz dalej łyskliwym korytem potoka...

Pozdrawiam cię, leniwie ciągnący w obłokach,
biały dniom a rozlegle szafirowy nocom,
który z grud się wyciskasz w śliskiej oziminie,
purpurą w róży — sokiem zakrzepły w owocu —
czasie — który i byłeś — i jesteś — i miniesz...

Gorżki w kiści piołunu, a słodki w malinie,
uwikłany w motyli pląsy najzawilsze,
co się liczysz po ciemku na łzy pod powieką,
w skwar — na świerszcza dygoty, w odwilż — na tchy wilcze
zanim w mroczne się wycie rozrosną za rzeką...

Pokłon tobie gdy w mgławic rozpylony mleko
cieczesz wklęsłą otchłanią, gdzie w gwiazdach noc klęczy,
pokłon — kiedy mórz solą i wichrem nasiąkasz
i pokłon — kiedy ciskasz garść srebra i tęczy
w sieć — nocą w krzak przydrożny wklętą przez pająka...

Wszędzieś jest — choć skrzydlatych bark twoich kabłąka
niczyj wzrok nie dopędzi — ni teraz ni potem —
który, nim tchniesz upałem chwili nadchodzącej,
już mam włos za jej chłodnym porywasz odlotem,
który nigdy nie wracasz — i który wiesz o tem —
pokłon tobie Przejrzysty i Przemijający!

Beata Obertyńska

DR EDWARD POMORSKI

OD SOWIZDRZAŁA DO SIENKIEWICZA

Dwóch było Sowizdrzałów, którzy żyli podobno, a w każdym razie zostawili po sobie mniej lub więcej złą sławę, uwiecznioną przez romansopisów w okresie XIV-XIX wieków.

Dwa narody pokazują grób swego legendarnego bohatera, poety, gawędziarza, podróżnika, włóczęgi, czy oszusta. Jeden grób znajduje się w Niemczech, w miejscowości Moelm, obok Lubeki; drugi w Belgii, w miejscowości Damm, obok Brugii. Na obu grobowcach wyryto symbole Sowizdrzała: sowę i zwierciadło.

W literaturze staropolskiej pełno jest Sowizdrzałów. Początkowo są to przeróbki z książek niemieckich lub czeskich, później mamy już oryginalnych polskich Sowizdrzałów, zresztą obok Marchołtów, a często z nimi utożsamianych.

Nawet i sam wyraz „sowizdrzał" jest tłumaczeniem z niemieckiego Eulenspiegel, poprzez język czeski (Sownozrcadlko — sowie zwierciadełko) na język polski: Sownociardlko. Tak było w pierwszym tłumaczeniu, dokonanym przez Jana z Koszyczek między rokiem 1530 a 1540. Oczywiście nazwisko bohatera było dla Polaków za trudne; toteż w następnych wydaniach mamy już: Sowiźrzał, z czego w nowszych czasach zrobił się Sowizdrzał.

W notatce niniejszej zajmiemy się jednak wyłącznie Sowizdrzałem belgijskim, którego w roku 1868 unieśmiertelnił Karol de Coster. Dzieło de Costera „Ulenspiegel"*) zostało aż dwa razy przetłumaczone i wydane w Polsce Ludowej: w roku 1949 przez Przecława Smolika (Książka i Wiedza) oraz w roku 1955. przez H. Szumańską-Grossową (PIW). Nie zamierzamy pisać recenzji wydań polskich de Costera. Zaznaczymy jednak, że tłumaczenia są nieudane, zrobione złym językiem, jakby w pośpiechu, bez znajomości rzeczy; celuje w nieudolności zwłaszcza pierwsze tłumaczenie (może dlatego zrobiono wkrótce drugie).**)

Dzieło de Costera otwiera nowy rozdział w literaturze młodego państwa belgijskiego: powstał utwór na wskroś narodowy, oparty na wspomnieniach wojen religijnych, które w ówczesnych Niderlandach hiszpańskich przybrały charakter powstania narodowego przeciwko władcom tego kraju.

Właściwie cała obszerna powieść de Costera jest zbiorowiskiem sprzeczności i rażących błędów psychologicznych. Autor stara się przedstawić nam zamieszki religijne jako powstanie narodowe, kierowane przez protestanta, księcia Wilhelma Orańskiego, skupiającego przy sobie nowinkarzy i opierającego się zarządzeniom władzy katolickiego cesarza Karola V, a potem jego syna Filipa II. Wszystko mogłoby być zrozumiałe, gdyby dotyczyło terenów późniejszej Holandii. Cóż z tego, kiedy autor umiejscawia akcję głównie w dzisiejszej Belgii, a specjalnie we Flandrii, które właśnie słynęły z katolicyzmu i pozostały wierne Kościołowi, a pośrednio także i Hiszpanii! Następnie, Flandria w intencjach autora miała być tym idealnym krajem, z którego wychodzi wszystko co dobre i piękne — a tymczasem pokazuje nam kraj samych łotrów, spodlonych dziewcząt, no i... katolików, posyłających na stos nowinkarzy.

Epopeja narodowa, za jaką chcieliby uważać Belgowie „Ulenspiegla", ma za bohatera łobuza, naciągacza, nieroba, jednym słowem — Sowizdrzała, którego o dziwo, w drugiej połowie książki autor kreuje na patriotę i rycerza wolności. Błąd nie do darowania; obniża on wartość moralną i estetyczną całej powieści. Tak samo błędem było przedstawienie wszystkich postaci, których przecież masa przewija się przez kartki 700-stronicowego dzieła, jako ludzi złych. Jedynym bodajże wyraźnym wyjątkiem jest kowal Wasteele, kujący po nocach broń dla powstańców i dający gościnę emisariuszom księcia Orańskiego.

Oczywiście do dobrych ludzi składa się również rodzina bohatera, a więc ojciec i matka: Klasowie, oraz narzeczona Nela wraz z matką Katarzyną. Przyjaciel, z którym Sowizdrzał wędruje, a którego nazwisko znajduje się w podtytule, jest również sympatyczny, choć pełen wad, jak i bohater główny. Ale to wszystko jest kroplą w morzu wobec całej masy ludzi kompletnie złych. Czarę goryczy czytelnika przepełnia świadomość, że nie tylko bohaterowie de Costera są złymi ludźmi — złym jest także i sam autor. Z każdego bowiem rozdziału tchnie nienawiść: nienawiść do królów, nienawiść do Hiszpanów, nienawiść do księży, zakonników i całego Kościoła katolickiego. Spoza Belgów pasję tę zauważył w „Ulenspieglu" Romain Rolland, ale próbuje ją wytłumaczyć nienawiścią do wroga, w ogóle, co zresztą nie jest słusznym sądem. Jakże daleki jest de Coster od pisarzy prawdziwie z łaski Bożej, którzy nawet w nieprzyjacielu potrafią dostrzec jakiś dobry rys charakteru! A jednak jeden z najlepszych poetów belgijskich, Camille Lemonnier, powiedział o „Ulenspieglu": „To pismo święte Flamandów".

Bez wątpienia — książka ma swoje wartości. Jest ona barwną opowieścią przygód dwóch ludzi, wędrujących poprzez kraj i ma coś z Cervantesa i jego dwóch bohaterów, coś z Diego de Mendoza (1503-1575) i jego sławnego Lazarillo de Tormes'a, a być może że dała pomysły i późniejszym autorom drugiej połowy XIX wieku.

Nas, Polaków, może zainteresować pewna zbieżność romansu de Costera z powieściami historycznymi Sienkiewicza (napisanymi dwa wieki i trzy dziesiątki lat później). Głównie księga trzecia i czwarta „Ulenspiegla" nasuwają nam przed oczy sceny i zdarzenia „Trylogii" i „Krzyżaków". Maciek Brzuchacz (według tłumaczenia nazwiska przez Smolika) szuka po całym kraju swej żony, jak bohaterowie Sienkiewicza szukają wybranek swego serca. Przedzieranie się przez obóz księcia Alby przypomina nam wyczyny Zagłoby, wiozącego Helenę, jak również Kmicica, jadącego ze szlachtą mazurską. A w ogóle Zagłoba, to jakby Sowizdrzał i Maciek, złączeni w jedną osobę: Sowizdrzał — spryciarz, a Maciek — obżartuch i pijak. Po dobrych wieściach przychodzą złe i na odwrót; sytuacja zmienia się, jak w „Ogniem i mieczem".

A oto wyjątek z księgi czwartej „Ulenspiegla" (w tłumaczeniu Smolika):

„Kat chciał już rozkaz wykonać, gdy po szczeblach drabiny pomiędzy niego a Sowizdrzała skoczyła jakoby kotka dzieweczka, cała biało odziana, z wianeczkiem kwiatów na głowie, zarzuciła ręce na szyję Sowizdrzała, krzycząc: „Człek ten mój jest; ja biorę go sobie za małżonka!"

A cały lud zaplaskał w dłonie i krzyczeć począł:

„Niech żyje dziewka, zbawicielka Sowizdrzała!"

„Co to znaczy?" — zapytał imćpan de Lumey.

„Podług starego obyczaju tego grodu" — odpowiedział mu imćpan de Très-Long — „wolny jest od winy i kary śmierci ten, którego młoda i wolna niewiasta lub dziewka na placu kaźni za męża sobie weźmie."

„Bóg z nim" — rzekł imćpan de Lumey, machnąwszy ręką. — „Rozwiążcie go"...

Czy nie mieliśmy złudzenia, że czytaliśmy „Krzyżaków" Sienkiewicza?

Sienkiewicz znał literaturę belgijską; przejeżdżał przez Belgię wielokrotnie, spędzał wakacje w Ostendzie. W czasie pobytu w Belgii pisał niektóre swe utwory, np. „Pieśń litewskich borów" i „Tę trzecią"; tam dokonał również przeróbki zakończenia „Ogniem i mieczem". Oczywiście, o jakimś naśladownictwie nie może być mowy. Nie mniej jednak niektóre refleksy pamięciowe znalazły swe miejsce w jego powieściach. Dotyczy to wyłącznie charakterystyki postaci i pewnych scen w ruchu. Znajdziemy u obu podobną barwność opisu zdarzeń, jednakże topografia tych zdarzeń u de Costera jest zupełnie mglista. Nie możemy sobie w wielu wypadkach uplastycznić jakimi drogami wędrowali dwaj przyjaciele flamandzcy, w jaki sposób znaleźli się w tej części kraju i dlaczego. W tej sztuce natomiast Sienkiewicz jest mistrzem.

(Dokończenie na str. 20)

***) Uil en spiegel = sowa i lustro. Całkowity tytuł brzmi: Till l'Espiègle, la légende d'Ulenspiegel et de Lamme Goedzak au pays de Flandres et ailleurs.**

****) Smolik nie wie nawet jak przetłumaczyć nazwę rzeki Skaldy; pisze z flamandzka: Szelda, a tłumacz wstępu do tej samej książki, Góranowski, pozostawia nazwę francuską: Escaut. Sam tytuł książki Smolik przetłumaczył: „Osobliwe przygody Dyla Sowizdrzała, a Góranowski we wstępie: „Bohaterskie, zabawne i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Maćka Brzuchacza" (W wydaniu, przetłumaczonym przez H. Szumańską-Grossową, tytuł ten brzmi: „Legenda jako też bohaterskie i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczciwca w krajach flamandzkich i gdzie indziej".**

Conrad niepełny*)

Praca zbiorowa — hołd pisarzy polskich dla wielkiego Polaka, „który staje się nam osobiście potrzebnym drogowskazem na bezdrożu..." Trud ogromny. Książka arcyciekawa pod wieloma względami, ale tytuł? — „Conrad żywy" — c'est beaucoup dire...

Portret pisarza umieszczony na pierwszej stronie. Światło pada zaledwie na jedną trzecią część twarzy. Reszta tonie w głębokim cieniu...
Nie wyświetlono pełnej osobowości Conrada, ukazano nam zaledwie jedno jego oblicze.

On sam, bodaj w przedmowie do książki „W oczach Zachodu", stwierdza: „...the tiger cannot change his stripes..." Conrad od dnia, gdy się zakotwiczył w porcie brytyjskim i rozpoczął karierę pisarza angielskiego, chadzał — rzec można — w masce.Tak mu było dogodniej. Wymykał się z rąk wszystkim po kolei biografom; nawet najbliższego swego otoczenia nie dopuszczał do konfidencji. Ale nie dał rady uciec przed samym sobą.

Mam w pamięci wypowiedź młodego Francuza, anglofila. Dowodził on, że zatoczywszy parabolę trzydziestu lat życia, gdy pisarz osiadł w Anglii, u kresu swej ziemskiej wędrówki — marzeniami wracał do Francji. Właśnie do Francji, do „ojczyzny" swojej bujnej młodości. Dowód? — najlepsza powieść ostatniego okresu twórczego, gdy talent Conrada gasł, — to doskonały „Korsarz", wydany zaledwie na pół roku przed zgonem oraz niedokończona powieść „Suspence". Obydwie francuskie tematycznie i „klimatycznie". — „Powiedziałbym, że psychicznie przygotowywał się do powrotu do Francji, tylko do Francji, a nie do Polski"... dowodził z żarem Francuz.

Myśmy chcieli wierzyć, zwłaszcza za młodu, że chciał wrócić do porzuconego Kraju. Z każdego zdania, zdawkowego bodaj zainteresowania się sprawami Polski Niepodległej — wysnuwaliśmy hipotezę: „tylko do Polski". O tych projektach, w swych pamiętnikach, wspomina dość zresztą pobieżnie Mrs. Jessy Conrad. Człowiek chory, najczęściej snuje fantastyczne plany, których realizacja przekracza siły jego i możliwości... Jednocześnie Conrad wybierał się na połów wielorybów...

Polskość Józefa Nałęcz-Korzeniowskiego zaczęła się paczyć po odbiciu od brzegów ojczystych. Nie emanuje ona w jego dziełach literackich wszystkimi elementami psychiki polskiej. Jest zubożała o najbardziej integralną część duszy, o pierwiastek religijny, towarzyszący narodowi naszemu poprzez wszystkie etapy historii, aż po dzień dzisiejszy...

Marsylia, leżąca na szlaku wielkich dróg morskich na Wschód, zwana „śmietnikiem Europy", była i jest targowiskiem międzynarodowym... Marsylia stała się elementarną szkołą życia młodocianego przybysza z Polski. Musiał tam raczej imponować swym pochodzeniem i sposobem bycia, ale też wpadał w zastawione nań sieci. Biorąc odwet za żałosne dzieciństwo i wczesną młodość krakowską, Józef Konrad rzucił się w wir życia, w wir użycia... Tracił, przegrywał, rozgoryczał się — nawet się pojedynkował, czy bodaj targnął się na swoje życie. Utonął w tym hazardowym, międzynarodowym świecie. Wówczas, wówczas, gdy całe współczesne mu pokolenie rodaków, i to które traciło już siły, i to które dojrzewało, śniło „sny o szpadzie" — i wyśniło, Conradowi wypadł los odmienny, świetny na miarę europejską i gorzki zarazem.

Zapewne już w Marsylii lub podczas najwcześniejszych rejsów morskich musiało dojść do pierwszego odskoczenia młodocianego Konrada od pionu ducha narodowego. Później, później — przyszły dalsze niewierności — „wiele, wiele zdrad" — ale ta pierwsza była najistotniejsza.

Tylko dziecko, chowane w rdzennie polskiej rodzinie, wie i pamięta, że zanim odpowie nieomylnie na pytanie: „Kto ty taki...?", od dawna powtarza za matką „Wierzę w Boga". W żadnej książce Conrada — od „Almayera" do „Korsarza" — nie przewija się bodaj cień matki, najwcześniejszej i najwierniejszej miłości mężczyzny do uosobienia kobiecości... Wszystkie zresztą „kobiety" Conrada w utworach jego upodobniają się do pięknych, fosforyzujących, ale błędnych ogni, które pojawiają się na krótko na szlakach wyboistych dróg męskich... Jak gdyby odwrócone obrazy życia matki pisarza, Eweliny z Bobrowskich Korzeniowskiej, która nie zawahała się podążyć wraz z mężem na wygnanie i zgasła na gruźlicę, trwając na posterunku do końca.

W utworach swych nie wyszedł nigdy poza orbitę zapasów wyłącznie terre à terre. Tyle zgiełku, huku, harmideru, rozpętanych pasji (np. „Nostromo" — istna piramida ludzkich podłostek, opętań, głupstw) — tyle hałasu... o co? O przysłowiową „kość słoniową"...?

Bohaterom Conradowym brak kontemplacji w wyższych pokładach duszy, brak pokory, a nawet odruchy serca, ujętę są w karby nakazów: stąd — dotąd. I brak jest ojcowskiego pouczenia dla wszystkich słabych, wątpiących, chwiejnych, o tych najprostszych prawdach, które od dwóch tysięcy lat rządzą milionami dusz ludzkich...

Gdy ziemia usuwa się dzisiejszemu człowiekowi pod stopami, życie podchodzi z nożem do gardła, gdy powikłanie losów, rozbicie rodzin, najwymyślniejsze dramaty stały się udziałem milionów ludzkich istnień — błędną najjaskrawsze wizje i konflikty świata wyimaginowanego. Dzisiejszemu człowiekowi potrzebny jest promień światła, a nie beznadziejna ciemność, potrzebny jest ratunek!

„Stół Conrada" na fotografii „Conrad żywy", a na nim arkusik papieru i wieczne pióro, na podłodze doniczka z rachityczną roślinką... Co się stało z biurkiem Conrada?

Mam je dobrze w pamięci, gdy zaledwie na parę miesięcy przed zgonem pisarza, odwiedziłam go w willi „Oswalds" w Kent. Dwie godziny spędziłam na żywej wymianie zdań (po polsku) w tzw. study room.

Pamiętam dobrze — jasny pokój na parterze, o dwu oknach olbrzymach, wychodzących na park, okalający willę, na przepysznie zielone, równiutko strzyżone kobierce trawników. A w perspektywie — łąki, łąki i kierdle pasących się owiec. Dużo światła, szmaragdowej orzeźwiającej poświaty w pokoju, dużo miejsca.

Z lewej strony, pionowo do okna, nieco wysunięte na pokój — stało biurko. Typowa, szanująca się „arka Noego" z dwiema szafkami po obu stronach i wygodnym ujściem dla nóg... Biurko zawalone papierzyskami, notatnikami, broszurami, świeżo właśnie wertowanymi, pismami...

Na biurku leżała świeżo przysłana z Polski, jeszcze nie doczytana do końca, książka Zofii Kossak Szczuckiej — „Pożoga"...

H. S. P.

*) **Wyjątki z eseju.**

OD SOWIZDRZAŁA DO SIENKIEWICZA

(Dokończenie ze str. 19)

Naturalnie cała ideowa strona powieści odpada. Jeżeli chodzi o estetykę, de Coster jest w okresie pierwotnym. Humor? Opisy łobuzerskich wyczynów i krętactw Sowizdrzała nastręczały tysiącznych sposobności do rozbłysku dobrego dowcipu, ale talentu autor belgijski nie wykazał żadnego. Imaginacja? Pomimo pozorów, Sienkiewicz nie był mocarzem w tej dziedzinie i tu coś niecoś zawdzięczał de Costerowi.

Dwaj ludzie, którzy zaczynali swoją karierę pisarską jako dziennikarze, wkrótce wzięli na warsztat powieść historyczną. Tak de Coster jak i Sienkiewicz rozbudzili uczucia patriotyczne w szerokich masach swoich społeczeństw, dla których literatura do niedawna była niedostępna. Zbłądziwszy pod strzechy, odegrali wybitne role wśród swoich narodów.

Edward Pomorski

MODLITWA „NAUTILUSA"

Adam Jaworski (Ottawa) przesyła wycinek z „The Gazette", założonego w 1778 dziennika montrealskiego, jednego z najpoważniejszych w Kanadzie, który podaje mało znany i budujący fakt: «...„5-4-3-2-1-0!" rozbrzmiewało przez głośniki. „Przekroczyliśmy Biegun Północny. W pokornej wdzięczności wobec Boga oraz dla uczczenia pamięci naszych poprzedników, tych, którym udało się i tych, którym się nie udało osiągnąć to miejsce drogą lądową, pozostańmy przez minutę w cichej modlitwie." Takie oświadczenie zostało wypowiedziane przez komandora Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, W. R. Andersona, do załogi atomowej łodzi podwodnej „Nautilus"...»

ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ



NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH

V

Kukiełki Jerzego Harasymowicza

„Oto zimą jabłonie,
oto gil w pąsie tonie.
Gil ma jak pestka serduszko.
Gil — zimowe jabłuszko."
(„Sad, Styczeń" — „Cuda", P.I.W. 1956)

Gdyby z takich wierszyków składała się twórczość Harasymowicza, można by powiedzieć, że znalazł się w Polsce milutki, osiemnastoletni odpowiednik ośmioletniej Minou Drouet. Ale po namyśle dochodzę do wniosku, że to porównanie krzywdzi francuskie cudowne dziecko, które swoim małym pazurkiem potrafiło targnąć struny, o których Harasymowiczowi nawet się nie śniło.

Podobnie jak Grochowiak, Harasymowicz zadebiutował w 1956 roku, najpierw w Almanachu Młodych 1955/56 (Iskry, 1956) potem tomem „Cuda", który wywołał sporo wrzawy na łamach prasy literackiej. Podobnie jak paru innym szczęśliwcom udało mu się uniknąć „bzdury krzepiącej twórczości socrealistycznej", w tym czasie wypuszczano bowiem poetów z klatki na zieloną trawkę. Z tej niespodziewanej wolności skorzystał Harasymowicz w sposób przypominający nieco wesołe wybryki uczniaka na wiosennych wagarach. Niezaangażowaniu politycznemu towarzyszy niefrasobliwy stosunek do zjawisk życiowych, żart, kpina, bufonada. W świat rozszarpany na części wzajemną nienawiścią ludzi, podminowany możliwością totalnej zagłady, w świat, gdzie morduje się całe narody, a inne zamyka do więzienia, które jest gorsze nieraz niż śmierć, w świat trudnej i smutnej rzeczywistości polskiej Harasymowicz wtargnął poezją dziecinnego pokoju wraz z jego nieodłącznymi rekwizytami zabaw i gier wieku cielęcego:

„My jesteśmy dzieci z jednego podwórka.
. . . .
A wy co od nas chcecie, my nie wiemy.
My mamy pełno lalków i słoniów,
My jedziemy zdobywać we czterech
śmietnik
na jednym drewnianym koniu.
Tam chcemy zatknąć pełno swoich
chorągwiów."
(„Sztuka Makowskiego", „Cuda")

Na tym drewnianym koniu Harasymowicz szturmuje na serio Parnas poezji polskiej wywołując niejakie zdziwienie przyglądającej mu się publiczności. Na obronę Harasymowicza można by tu postawić zarzut krytyce, która jedną ręką wyklina poetów biorących udział w „nurcie przeobrażeń dziejowych", a drugą gromi tych, którzy zdobywają i kolonizują własne światy poetyckie. Wytknięta tu sprzeczność jest jednak pozorną sprzecznością tylko. Pomiędzy jałową ziemią socrealizmu, a wesołą łączką dla źrebaków i zajączków, istnieje strefa poezji, która nie popadając ani w socrealizm ani infantylizm pozostaje wierna człowiekowi i jego ludzkiej doli. To prawda, że każdy, lub prawie każdy, ma swój własny świat w odróżnieniu od tego, co nazywamy światem zewnętrznym. Że tak się dzieje, jest chyba wynikiem wrodzonej predyspozycji psychicznej człowieka z jednej strony, a z drugiej wynikiem jego bezradności wobec świata zewnętrznego, który ciągle wymyka mu się z rąk.

Nasza wiedza jest ograniczona. Nie mogąc wyjść poza granice świata fizycznego in concreto, człowiek przekracza je myślą, marzeniem, intuicyjnym wyczuciem innych światów, z których buduje sobie świadomie czy nieświadomie swój świat wewnętrzny. Ten z kolei może być czystą fantazją, niesprawdzalną na gruncie rzeczywistości, względnie duchową strukturą świata niewidzialnego, który pozostaje w ścisłym związku ze światem widzialnym, z niego jakby wypływa, jest jego ukoronowaniem i wytłumaczeniem. Jest przywilejem pisarzy, poetów, filozofów i mistyków stwarzać lub też odkrywać takie światy. Ale i każdy z nas robi to na własny użytek. Nie zawsze jednak mamy do czynienia z wnikliwą intuicyjną myślą, która odkrywa nam inne, nieznane dotąd, oblicze rzeczywistości, czy też ze świadomym konsekwetnym budowaniem własnego świata wewnętrznego, przedzieraniem się ku własnej, niepowtarzalnej prawdzie. Najczęściej spotykaną postawą jest to, co określa modne dzisiaj słowo eskapizm. Ponieważ rzeczywistość dnia codziennego jest nieraz niezrozumiała, nudna, monotonna, często drażniąca, nieprzyjemna i beznadziejna, więc też przeciętny człowiek idąc po linii najmniejszego oporu wpada w sieci masowej rozrywki jak kino, telewizja, jazz, brukowa prasa i także literatura. W krajach o niższym standarcie życiowym magicznym kluczem, jaki otwiera drzwi do kraju barwnej ułudy jest alkohol, który pozwala, przynajmniej na jakiś czas, zapomnieć o trudach i kłopotach codziennego bytowania, o niepowodzeniach życiowych i o własnej przeciętności. Są ludzie, którzy zamiast alkoholu stosują środek znieczulający utopijnych marzeń, względnie we wspomnieniach szukają ucieczki przed światem, który zawiódł ich nadzieje, lub też stał się inny jakiś, nowy, obcy i daleki. Z uwagi na to, że twórcza, dynamiczna i ekspansywna postawa wobec życia jest daleko trudniejsza, bo wymaga aktywnego udziału w życiu takim, jakie ono jest, oraz wysiłku pracy, woli, wyobraźni, a eskapizm nie wymaga nic poza leniwym bujaniem na fali stadnych instynktów, więc też więcej mamy eskapistów niż myślicieli, więcej snobizujących błaznów niż świadomych artystów, więcej poezjomanów niż poetów.

Istnieją sytuacje jednak, wobec których człowiek jest zupełnie bezsilny. Na nic wola, charakter i dynamizm pojedyńczej jednostki tam, gdzie brak osobistej wolności. Nieskrępowana twórczość w systemie komunistycznym jest nie do pomyślenia. Ludzie pragną tej wolności, ale cóż z tego skoro nie są gospodarzami w swoim domu. Chcieliby to i tamto, a właściwie poza podporządkowaniem się odgórnym dyrektywom oraz pogodzeniem się z istniejącym stanem rzeczy nie mogą nic. Ta ogólna niemożność paraliżuje odruchy i w dużym stopniu jest odpowiedzialna za wykoszlawienia poetyckiej wyobraźni u młodych poetów. Co może taki młody, ambitny, dynamiczny kandydat na pisarza czy poetę zdziałać w Kraju, jaką drogę sobie wybierze? Może zapisać się do Partii i śpiewać pochwałę państwa socjalistycznego. Ale na to trzeba być albo durniem albo łobuzem. Harasymowicz nie jest ani jednym ani drugim. Można, z drugiej strony, zająć się kształtowaniem i wzbogacaniem własnej osobowości, poszukiwaniem prawdy, medytacją i kontemplacją. Ale Harasymowicz, jako wychowanek szkoły salezjanów, wyniósł z niej niechęć do księży i religii. Przy tym trzeba żyć, a żyć z religii osobie świeckiej, która nie jest Bolesławem Piaseckim, raczej trudno. Oczywista, można także pisać do szuflady, albo nie pisać w ogóle, ale dla młodych ludzi, ogarniętych gorączką twórczości, obie te postawy są jednako nie do przyjęcia. W praktyce więc szuka się takiej neutralnej ścieżki, która nie wzbudzi podejrzeń cenzora, zyska aprobatę redaktorów i aplauz krytyki. I tak się zaczyna podróż do kraju łagodności. Skoro konkretna, ro-

dzima rzeczywistość jest taka, że jej na codzień ani znieść nie można, ani zmienić, wówczas trąbi się do odwrotu, wraca się do dziecinnego pokoju w nadziei, że się tam znajdzie schronienie przed obrzydliwym, brutalnym światem Dorosłych Osób. I nie ma potrzeby rumienić się czy też okrywać tego tajemnicą. Powrót do świeżości, czystości, niewinności i piękna, z którym dziecko pozostaje w nieświadomym intuicyjnym kontakcie, jest warunkiem sine qua non sztuki i świętości. Starożytni filozofowie chińscy twierdzili, że wielkim jest ten człowiek, który nie stracił dziecięcego serca. A Jezus z Nazaretu wskazując na gromadkę dzieci wyrzekł słowa znane nam z Ewangelii: „Jeśli nie będziecie jako jedno z nich, pamiętajcie, nie wnijdziecie do Królestwa Niebieskiego". To wszystko prawda. Ale Harasymowiczowi nie o taki powrót do dzieciństwa chodzi. Harasymowicz wraca do kraju dziecinnych zabaw i marzeń, jak się idzie za kulisy teatru w celu wyszukania odpowiednich dekoracji. Z tych dekoracji zbuduje się własny świat teatralnej fikcji, który w pierwszym stadium będzie trochę sentymentalnym, trochę naiwnym i trochę ironicznym przyglądaniem się Narcyza samemu sobie, wraz z nieodłączną przekorą dziecka zbuntowanego wobec Dorosłych Osób i ich świata; a w drugim — surrealistyczną kompozycją, przeniesioną wprost z plastyki w świat tradycyjnych pojęć, wierzeń i odczuwań, dla tym większego przerażenia Dorosłych Osób, zaprawioną małą perwersją, makabrą i szarganiem świętości katolickiego obrządku religijnego.

Tomik „Cuda", który doskonale ilustruje pierwszy okres twórczości Harasymowicza, zawiera sporo materiału autobiograficznego. Materiał ten daje nam nie tylko pojęcie o życiowych tarapatach niesfornego chłopca, ale także o jego stosunku do samego siebie. Jest to stosunek, w którym tkliwy sentymentalizm miesza się z auto-ironią:

> „Oto jestem, o włosach bez granic, o butach uśmiechniętych od ucha do ucha, stoję na tle świerków, w których gnieździ się moje serce (obok chromy zajączek zaznacza takt cichutko na piszczałce).
>
> A oto moje serce: naiwne kurczątko w rozpiętym kaftaniku...
>
> Oto jestem a nade mną mój znak: potężna flaga lenistwa, zielona i niebotyczna."
>
> („Prawdziwy portret autora")

Można by tu zauważyć, że naiwność, o której pisze Harasymowicz — przedstawiając siebie czytelnikom — jest raczej chwytem literackim niż autentyczną cechą charakteru. Trudno sobie wyobrazić, aby właściciel naiwnego serduszka (świadomość własnej naiwności już ją właściwie przekreśla) mógł pisać jak następuje:

> „Naprzód pamiętam, mój dziadek: żubr w uprzęży z różańców, wymagał ode mnie bojaźni Bożej oraz dziesięciorga przykazań,...
>
> Potem przyszła pierwsza komunia... Proboszcz płynął dostojnie, przebijany nieustannie czerwonymi sztylecikami wywalonych uroczyście języków...
>
> („Dzieciństwo")

Nie. Nie z naiwnością mamy tutaj do czynienia. Raczej z przekorną inteligencją, ze złośliwym wyodrębnieniem zewnętrznych, formalnych cech rytuału, które komentuje się ironicznie, nie zwracając najmniejszej uwagi na istotę rzeczy. Ta postawa przewija się przez całą niemal dotychczasową twórczość Harasymowicza, co potwierdza założenie o marionetkowym jej charakterze. Wychowanie religijne, jakie niewątpliwie autor otrzymał najpierw w domu, a potem u księży salezjanów, dało efekt odwrotny od zamierzonego. Harasymowicz pełnymi garściami czerpie z języka religijnego, korzysta z wszelkich możliwych rekwizytów kościelnych, ale nie zdradza ani krzty odczuwania religijnego. Wyobraźnię poetycką bez wątpienia ukształtowało bogactwo obrządku katolickiego, ale „duszyczka" pozostała nietknięta. Zamiast skromności — zarozumiałość, w miejsce pokory — pycha, zamiast szacunku, posłuszeństwa i pobożności — wesołe wywracanie ustalonego porządku — obalanie istniejącej hierarchii wartości, kpiny i żarty, anarchia i wywalanie języka. Przysłowie mówi, że i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Podobnie, nawet i u salezjanów z kąkolu pszenica nie wyrośnie. Harasymowicz diabłu duszę gotów sprzedać byle księdzu prefektowi dokuczyć. Obok przekory sztubackiej, mamy tu także do czynienia z ambitną „duszyczką", która nie znosi zbyt sztywnego prowadzenia za rączkę i tylko czeka, aby swoich „dręczycieli" wystrychnąć na dudka lub wyśmiać. Pisząc o śniadaniu w zakładzie księży salezjanów Harasymowicz przeciwstawia „osiemnastoletnim dziadkom kościelnym, którzy po powrocie z kościoła pałaszują cienkie śniadanko", brzuchatych księży, którzy „cisną się do wyżej zorganizowanego żłobu":

> „Cisną się
> pochodem
> przyszłych świętych duchów, —
> cisną się
> paradą
> niecodziennych brzuchów."

Innym razem, w wierszu „Wielkanoc", autor pisze o atmosferze przedwielkanocnych rekolekcji, kiedy „Lada szmata w kącie ciemniejszego korytarza staje się kulawym diablątkiem". Wszystko dokoła zdaje się powtarzać jedno słowo: pokuta, pokuta. Tymczasem przychodzi list od „niej":

> „Dziś dostałem list od niej. Natychmiast odpisuję i odpowiedź wrzucam do skrzynki wiszącej w korytarzu. Następująca zaraz potem awantura z prefektem nie łamie wysokich, srebrnych masztów radości. Patrzę na niego spokojnie jak zgarnia w garść i tasuje rozwartą ręką powietrze nad mą głową.
>
> Bowiem ja umrę daleko od Boga i Jego kropideł."

Dla Harasymowicza zespół wierzeń religijnych jest jakąś umowną mitologią, więc też korzysta on z nich w ten sposób jak poeci greccy z mitologii greckiej, choć nie tak pięknie jak oni. Nie należy więc się dziwić gdy święci u niego mówią do siebie per „ach, ty taki synu...", za co Archanioł Michał, objeżdżający podległe mu obszary nieba na bicyklu, zamyka obu do mamra. I tak to bez pasków, bez sznurówek, w błękitnych kalesonach, siedzą święci i nudzą się. Z nudów wyrywają sobie białe kłaki z brody, które spadają na ziemię w postaci śniegu. Nie należy także się dziwić kiedy w erotyku, obok zrozumiałej i uzasadnionej obecności Ewy, spotykamy się także z jej Aniołem Stróżem, z Jonaszem, który błękitnemu wielorybowi dorabia kółeczka „z dwóch małych aureoli", oraz ze świętym Pawłem:

> „Z mych palców ogrodzenie robię
> przy piersi miłej różowych pączkach.
> Więc ogród różany, a wyżej jak strumyk się wije
> czołem kochanki srebrna potu wstążka.
>
> A wtedy jej anioł jak nie wrzaśnie,
> że niewinność ginie wśród pierzyn,
> więc Ewa, zła, wbiła mu gdzieś tam piórko
> i anioł jak rakieta z sykiem bólu
> pomknął na niebiańskie leże."

Oprzytomniawszy, anioł pobiegł na skargę do Jonasza, który wysłuchawszy odezwał się w te słowa:

> „IMIENIA POETY NIE WYMAWIAJ NADAREMNO.
> JEMU WSZYSTKO WOLNO. CHODŹ ZA KARĘ ZE MNĄ."

I weszli w brzuch wieloryba, gdzie tkwili z godzinę. Napróżno nieświadomy święty Paweł wołał popijając kawę:

> „... — Jonasz, święty Jonasz,
> ej, śniadanie, bo z tej pracy skonasz."

Mniejsza o zbyt daleko idące sugestie poety (ten anioł miał bowiem „piękne złote włosy i był z tych, co przewidujący Bóg stworzył zaraz po Adamie). „Erotyk z Aniołem", bo tak ten wiersz się nazywa, doskonale ilustruje stosunek Harasymowicza do rzeczywistości, oraz jego podejście do religii. Erotyk nie jest erotykiem, anioł nie jest aniołem, święci nie są świętymi. Wszystko to są lalki i rekwizyty prywatnego teatru wyobraźni pana Harasymowicza, który pociągając za sznurki daje z góry zaplanowane przedstawienie. Mamy tu do czynienia z typową dla Harasymowicza ucieczką od rzeczywistości, której fragmentami mebluje się świat absolutnej fikcji, swawolnego marzenia, swoistej mitologii.

Pomijając wiersze, w których tematyka już przesądza o stosowaniu słownictwa religijnego, wciąż jeszcze mamy do czynienia z obrazowaniem, które symbole religijne stosuje jako elementy dekoracyjne, nieraz trafnie, często w sposób naciągany i nużący. Obok świętych, aniołów i anielic, diabłów, diablic i diabląt,mamy tu brzuchatych kanoników, dziadków kościelnych, sowy odmawiające różaniec. Góry są podobne do „skrzydeł anielskich" topole są jak „spalone organy", a wrony to duchy organistów. Serce stuka jak „palec księdza w brąz konfesjonału", myśli plączą się w rajskiej trawie do pijanych aniołów podobne." Dziki wskrzeszają Sodomę „ziemniakom", ale zaraz mają być poskromione „grzmiącym kropidłem myśliwego", który wyłania się nagle z „drewnianej ambony". Jastrząb jest jak krzyż w procesji, indyki — „stado biskupów we fioletach", motyl „trzepocze jak nerwowo otwierany modlitewnik", a gąsior kroczy „głupi i dostojny i bosy jak anioł".

Poetycki świat Harasymowicza jest negacją rzeczywistości, wyzwaniem rzuconym światu Dorosłych Osób, wraz z jego ustalonym porządkiem rzeczy i realiami

tzw. życia na codzień, wraz z całym krępującym bagażem tradycyjnych zwyczajów, obyczajów i wierzeń. Przekora, skłonność do anarchii, absolutny nonkonformizm wyobraźni, te są źródła buntu poety, który nie chce uznać supremacji Dorosłych, podporządkować się dyktatom praktyczności, użyteczności, etc. W wierszu bez tytułu (* * *) Harasymowicz tak odpowiada ojcu, który sugeruje synowi, aby się raz nareszcie wziął do jakiejś uczciwej pracy, np. żeby został referentem:

„...Ale, proszę ojca, czy referentowi się
sypią jabłka z ucha,
. . . .
Ach! Do cholery, więc może z tego
chłopca
będzie robotnik do tartaku, do drzewa,
Hm, a ja chciałbym być diabłem, ale
to takim diabłem,
co zupę szczawiową gotuje zającom
— i śpiewa...
Zaś potem miał być ze mnie miernik
(taki, co liczy i liczy).
I pamiętam do dziś, jak rzekłem do
tego ścisłego matematycznego łotra:
— Panie, pan z tego liczenia jest już
taki chudy,
że pana wraz z trumną schowają do
pępka świętego Piotra.
Więc dom mnie się wyrzekł
i zasłonili swe oczy święci nad łóżkiem wśród pajęczych sideł.
I oddalała się, jak góra lodowa, bezpowrotnie kariera radcy,
I poezja się wzbijała pierwszymi
uderzeniami skrzydeł.“

Widzieliśmy już jak te pierwsze uderzenia skrzydeł poezji zawiodły Harasymowicza do dziecinnego pokoju, na podwórko, gdzie gromadka zbisurmanionych pętaków z patykami w rękach atakuje śmietnik. Ale okazuje się, że nasz autor nie tylko improwizuje na tematy z dzieciństwem związane, ale także udziecinnia sprawy, z natury rzeczy należące do świata dorosłych. Najlepiej to widać na przykładzie erotyku:

„W opuszczonej strzelnicy pod jarzębiną, co trzyma dzban rosy,
pod maleńkim szałasem, który uczyniły Twe włosy.
Jesteśmy, miła, prawie jak anieli
święci, czyści i wniebowzięci.
* * *
Wtem dróżką idą dwa zające, mają
na srebrne guzy zapięte
rajtuzy i tak sobie gadają“

Z rozmowy zającow wynika, że to pewnie anieli leżą pod tą jarzębiną i że wobec tego:

„...zaraz będą się działy cuda!
Zatrzęsie się cała buda.“
(„Cuda“)

W innym wierszu prozą czytamy:

„Po najwyższym podniesieniu miłości
— dwoje śmiesznych, wysokich dzieci
— przepraszaliśmy zgniecione fijołki
na polanie...“
(„Erotyk“)

Fiołki, jak konkluduje autor, natychmiast udzieliły rozgrzeszenia. Gdzie indziej znowu Harasymowicz pisze:

„Kochanie, kto tak chrząka znacząco
oraz opuszcza ostentacyjnie powieki
nad naszym miłosnym łożem?
Ach, to mój dziadek uwieczniony
malarsko.“

Potem wpada w cielęcy zachwyt nad tym co będą mieli za jakiś czas:

„Będziemy mieli rączki — cudowne,
niewinne rączki, trzepocące
jak motyle, grzmiące kolosalną
grzechotką...“
(„Dialogi szczęśliwe bardzo“)

Według Borowego, Brodziński wysoko stawiał Trembeckiego za „wytworny smak, który zawsze woli męską energię zamiast pieściwości“. U Harasymowicza, podobnie zresztą jak u Grochowiaka i Piotrowskiego, ani śladu męskiej energii, pieściwość natomiast płynie rzeką. Zamiast poety, który opiewa miłość mężczyzny i kobiety, na scenę poetycką wskoczył trefniś-rozkosznis-bałamutnik, który wydwarza sobie i kugluje do woli. Zamiast frywolnej fraszki, jurnego epigramatu, czy erotyków takich, jakie znamy z twórczości np. Staffa czy Leśmiana — rozkoszne kwilenie niedorostków. W najlepszym wypadku to, co młodzi w Kraju piszą na tematy erotyczne, jest swoistym przewodnikiem miłości doskonałej dla krasnoludków.

Świat poetycki Harasymowicza nosi na sobie piętno niedojrzałości psychicznej. Poeta ucieka od świata rzeczywistych przedmiotów, myśli i uczuć, szuka przed nim schronienia w namiocie zbudowanym z rozmaitych dekoracji. Za wszelką cenę unika stąpania po ziemi. Woli fruwać z gałązki na gałązkę. Obrzydliwemu światu Dorosłych Osób przeciwstawia swoje kukiełkowe teatrum. Cechą charakterystyczną tego świata fantazji i marzenia jest ujmowanie natury w sposób bajkowo-sielankowy, rzeczywistości w sposób dekoracyjno-pieściwy, a miłości w sposób chłopięcy.

Jakkolwiek Harasymowicz dzielnie broni twierdzy dzieciństwa, rzeczywistość wdziera się raz po raz i burzy misterne dekoracje. W „Historii znajomego“ mamy do czynienia już z bardzo rzeczywistym światem okupacyjnych okropności i jej skutków w ludziach, którzy albo utracili rozum, jak znajomy poety, albo szydzą z łagodnie obłąkanych jak współpracownicy biurowi nieszczęśliwego. Drugim przykładem drastycznego realizmu jest doskonały retorycznie wiersz „Gdybym mógł w słońce jak w gong bić, biłbym na alarm“, gdzie poeta daje wyraz przerażeniu wobec bardzo konkretnego niebezpieczeństwa alkoholizmu:

„Groźna powódź zalała nasz kraj. Jej
sina alkoholowa fala
swe ryby, puste flaszki, aż na szczyty
wyrzuca w chmur obręczach
Ja, gdybym mógł w słońce jak w gong
bić, biłbym na alarm,
widząc jak naród mój przed wódką
czołga się na klęczkach.“

Każde dzieciństwo ma swój koniec. Chłopiec broni się jak może, ale coś w nim umiera i na to miejsce zjawia się wiek męski z jego trzeźwym spojrzeniem na świat i życie. Skończyły się niefrasobliwe harce na polach, łąkach i w lasach z bajki. Kraj Łagodności nie istnieje. Poeta trąbi do odwrotu:

„Chodźmy, o chodźmy stąd, księżyc
jak kogut czerwony
pod granatowym skrzydłem jodełki
jest już niesiony na sprzedaż.
Patrzcie, zarządziłem nawet powrót
do Kraju Łagodności,
ale i tu, i nigdzie spokoju już nie
mam.“
(„Jastrzębnik“)

Zdawać by się mogło, że skończyła się wyprawa do kraju fantazji i marzenia spod znaku dziecinnych pokojów, i że zacznie się realistyczne sondowanie rzeczywistości współczesnej. Ale, gdzie tam! Harasymowicz pozbierał wszystkie swoje dekoracje i lalki i przeniósł się na inne podwórko. Zamieszkał w „Wieży Melancholii“ (Wydawnictwo Literackie, 1958), gdzie, tym razem, pod patronatem Salvadora Dali, rozpoczyna surrealistyczne misterium, żywcem przeniesione ze świata plastyki w świat tradycyjnych pojęć, wierzeń i odczuwań.

„Na każdej z czterech białych baszt
zamku stoi klatka
z najbardziej ekscentryczną papugą
świata Salvadorem Dali...“
(„Mój zamek w jarzębinowym lesie“)

„A nad tronem po słońca kole kręcą
się niebieskie wagoniki z kolędnikami Bogu głoszą cześć
Na tronie z nogami na rybie którą
pomalował Dali siedzę wsparty pod
boki...
Papież wyobraźni siedzę z księgą
której zakładki to listki czerwone
wyjętych z prasy warg anielic co
umarły na wyrastanie z czoła
rogów.“
(„Papieskie igraszki“)

Znowu mamy do czynienia z poezją chłopca, który gwiżdże na rzeczywistość społeczną, polityczną, historyczną, geograficzną i metafizyczną, i galopuje na końskim szkielecie w orszaku upiorów, strachów na wróble, diabłów i anielic ku innym horyzontom, gdzie:

„Mój pałacyk wśród ogromnych
ogrodów lilii
tu i tam gnijące na biało ubrane
zwłoki komunijnych dzieci sowy depcą
W altanach szklane książki o szkarlatynie malowane
czerwonym tuszem upiorzy czytają
przymilni
A złocisty puszysty bazyliszek grzebieniem potrząsa i pieje na płocie z
lasek ślepców.“

Świat tkliwych baśni ustąpił miejsca surrealistycznej makabrze, a poeta który nie tak dawno przedstawiał siebie jako naiwne kurczątko w rozpiętym kaftaniku jest teraz przedziwnym mieszańcem, którego rodowód wygląda jak następuje:

„Mój ojciec był diabłem a matka najbrzydszą anielicą co po kuchni rajskiej latała
W białej spódnicy z żółtym pasem
u dołu
Jestem ich synem o twarzy dziobatej
koloru cegły...
Ale ponieważ Bóg aż się biblią swą
zasłaniał tak mej twarzyczki nie
lubił i mówił ty pieski niebieski
Więc mnie pomiot diabelsko anielski
Za bramę rajską w pyskach
Żółte wyniosły Huberta pieski.“

Wyrzucony z raju przystał na służbę do kościółka w Jeżówku, gdzie z kurzu omiatał ołtarze, Oko Opatrzności przemywał rumiankiem, a w niedzielę chichotał na szczycie organów, aby ludzie uwierzyli w szatanów. Za to wszystko dostawał od plebana wiązkę słomy na legowisko na świeczniku, a na śniadanie zamiast gromnicy jedną maleńką świeczkę. Diablątko się żali:

„Rozumiecie jednej gromnicy nie
chciał mi dać pleban gruby jak
kopa

(Dokończenie na str. 32)

CZY ISTNIEJE LITERATURA NA EMIGRACJI?

NA TEGOROCZNYM walnym zjeździe Związek Pisarzy Polskich ma się zająć problemem trudności pisania na emigracji. Łaskawy Czytelnik zechce sobie każdą formę czasu przyszłego w ŻYCIU zmieniać w myśli na czas przeszły dokonany. Zanim bowiem miesięcznik wykokosi się z pieleszy redakcyjnych i drukarskich, mija parę tygodni. Zatem walny zjazd Związku Pisarzy w chwili pisania tych słów ma się dopiero odbyć, kiedy jednak Czytelnik będzie te słowa czytał, o zjeździe pamiętać będą tylko ludzie obdarzeni wyjątkowo dobrą pamięcią.

W stylowej jadalni Domu Pisarza poeta Tadeusz Sułkowski zadał piszącemu te słowa pytanie, czy nie miałby ochoty wraz z nim uzasadniać na zjeździe tezy, że pisarze na emigracji przestali pisać. Piszący te słowa odpowiedział jak sofista: „nie sądzę, aby pisarze emigracyjni przestali pisać, ale gdybym sądził, że przestali, to bym na ten temat nie mówił, gdybym jednak mówił, to nie na walnym zjeździe pisarzy". W parę dni później przyszła autorowi wyżej przytoczonych zdań warunkowych dodatkowa refleksja: „skoro jednak miałbym zabrać głos, to już raczej na piśmie". I oto geneza poniższego felietonu. Będzie w nim rozwinięty pierwszy człon sofistycznego wywodu: „nie sądzę, aby pisarze emigracyjni przestali pisać", a jeśli starczy miejsca (bo racja dziennikarska zależy przede wszystkim od wolnego miejsca w piśmie), częściowo też człon drugi, połączony z czwartym.

Łaskawy Czytelnik zapewne już sobie uświadomił doniosłość roku bieżącego. Dnia 1 września b. r. minie dwadzieścia lat od wybuchu drugiej wojny światowej. Zarazem dwadzieścia lat od rozpoczęcia się powrześniowej emigracji. Akurat tyle czasu, ile przetrwała Polska niepodległa. W roku 1959 przypadną najrozmaitsze dwudziestolecia, nastanie więc raj dla organizatorów akademij. Warto by się już na progu roku zastanowić nad publikacjami rocznicowymi, manifestacjami itp. Mija również dwadzieścia lat od śmierci jednego z największych mężów stanu, jakich wydała Polska, Romana Dmowskiego.

We wrześniu 1959 upłynie 20 lat, kiedy pierwsi emigranci wojenni przekroczyli granicę Rzeczypospolitej. Dwadzieścia lat temu zaczęła się powrześniowa emigracja i emigracyjna działalność. A więc także literatura emigracyjna. Szkoda, że nie ma wśród nas historyka literatury ani krytyka, który by mógł napisać zarys dziejów piśmiennictwa tego okresu. Związek Pisarzy gotuje, czyli pichci pracę zbiorową na ten temat, ale każdy bigos trzeba zawsze długo warzyć. Zresztą Związek Pisarzy planował opracowanie piętnastolecia literatury emigracyjnej, lecz nim zdołał pozbierać materiały, mija, jak obszył, dwudziestolecie. A kiedy się to wszystko wydrukuje, doczekamy zapewne ćwierćwiecza pielgrzymstwa.

Nam tu jednak chodzi o czas teraźniejszy: czy literatura emigracyjna istnieje, to jest, czy pisarze nadal tworzą? Sądzę, że literatura emigracyjna na dobre dopiero się zaczęła. Najlepsze utwory pisane na obczyźnie pojawiły się w ciągu ostatnich kilku lat. Średnie pokolenie pisarzy dopiero co ogłosiło swoje pierwsze książki. Poza Krajem żyje i tworzy wielu wybitnych pisarzy w pełni sił i twórczości.

W ciągu dwudziestu lat emigracyjnych powstało mnóstwo dzieł literatury pięknej, ale w latach wojennych i bezpośrednio po wojnie posiadały one charakter szlachetnie użytkowy: zagrzewały żołnierzy do boju, a społeczeństwo do wiary i wytrwania. Była to więc twórczość patriotyczna, bezpośrednio zaangażowana w działalność polityczną i społeczną. Nie znaczy to zresztą bynajmniej, że w owym czasie nie powstały dzieła wysokiej wartości artystycznej. Nie wszystkie też wynikały z doraźnego zamówienia społecznego.

W ogóle historyk literatury emigracyjnej powinien sobie podzielić materiał na dwie części: piśmiennictwo okresu wojny i jej pokłosie oraz piśmiennictwo emigracji z wyboru, to znaczy uchodźców, którzy postanowili pozostać na obczyźnie na czas nieograniczony. Jako daty orientacyjne można by przyjąć lata 1939 — 1950 i 1950 aż do śmierci ostatniego pisarza emigracji powrześniowej. Dla wygody historyków literatury dwudziestego pierwszego stulecia dodam od razu, że za emigrantów powrześniowych uważać można tych ludzi, którzy opuścili Polskę w latach 1939-1945 jako ludzie dojrzali. Dzieci emigrantów powrześniowych to już inny rozdział. Do powrześniowej emigracji z lat 1939-1945 trzeba jednak dołączyć wcześniejszych i późniejszych emigrantów, którzy się w jej nurt włączyli (Florian Czarnyszewicz, Czesław Miłosz).

Jakież to wybitne dzieła literatury powstały na emigracji w ciągu ostatnich pięciu lat? Nie zamierzając bynajmniej sporządzać pełnej listy i ograniczając się wyłącznie do beletrystyki, wymieniam dla przykładu kilkanaście pozycji w porządku alfabetycznym: Andrzej Bobkowski: Szkice piórkiem, Florian Czarnyszewicz: Szkice piórkiem, Marian Czuchnowski: Pierścień i zamieć, Maria Danilewiczowa: Blisko i daleko i Dom, Witold Gombrowicz: Transatlantyk i Dziennik, Janusz Kowalewski: O żołnierzu ciułaczu, Józef Łobodowski: Komysze i W stanicy, Józef Mackiewicz: Droga donikąd, Karierowicz i Kontra, Czesław Miłosz: Zniewolony umysł, Zdobycie władzy i Dolina Issy. Tadeusz Nowakowski: Obóz Wszystkich Świętych, Beata Obertyńska: Ziarnka piasku, Teodor Parnicki: Koniec Zgody Narodów, Zofia Romanowiczowa: Baśka i Barbara, Czesław Straszewicz: Turyści z bocianich gniazd, Kazimierz Wierzyński: Życie i śmierć Chopina, Stefania Zahorska: Ofiara.

W poezji wystarczy wymienić parę najważniejszych nazwisk. Z pokolenia starszego: Baliński, Bohdanowiczowa, Hemar, Wierzyński, Wittlin, z pokolenia średniego: Czuchnowski, Łobodowski, Miłosz, Pankowski, Pietrkiewicz, Przyłuski, Rostworowski, Sułkowski, z najmłodszych: Czaykowski.

Można by dodać kupkę artystycznych przekładów z literatur obcych, zarówno w prozie jak poezji. Wymieniać eseistów, autorów pamiętników, publicystów, uczonych piszących piękną prozą, niepodobna, tylu ich pisze na emigracji. W sumie jest to nurt głęboki i wcale szeroki, tak że śmiało można mówić o literaturze emigracyjnej, nie tylko o pisarzach.

Wszyscy wymienieni autorzy to przeważnie albo osoby w pełni sił albo młode, mające jeszcze przed sobą daleką drogę. Dodać trzeba kilkanaście nazwisk pisarzy, którzy jeszcze dotąd wcale lub też ostatnimi laty książki nie wydali. Pisma literackie cierpią raczej na nadmiar materiału.

Pisarstwo jest sztuką, a na emigracji sztuką szczególnie trudną z licznych powodów. Prawda też zatem, że konkretne warunki i ogólna atmosfera nie sprzyjają twórczości artystycznej. Plastycy, muzycy, tancerze, a nawet i poniektórzy aktorzy od dawna włączyli się w nurty lokalne, obce. Wśród pisarzy udało się to zaledwie jednostkom. Jednakże pisarz z reguły rodzi się w swoim języku i dla swojego języka, a jego utwory nieczęsto dadzą się z pełnym powodzeniem na obce języki przełożyć. Nie tylko dla trudności lingwistycznych, lecz nade wszystko z powodu odmiennych tradycji literackich i przeznaczenia, jakby zaadresowania, dzieła. Żadna sztuka, może nawet żadna inna gałąź twórczości, nie jest bardziej narodowa od literatury. Toteż pisarz w zasadzie może wypełniać swój zawód (powołanie, misję) tylko w rodzinnym języku. Musi albo pisać w swoim języku albo nie pisze wcale. Dlatego to los pisarzy na emigracji i dolę emigracyjnej literatury trzeba określić jako heroiczną. Pisarz na emigracji wierzy wbrew nadziei, walczy na śmierć i życie o możność tworzenia, woła głosem na puszczy.

Po pierwsze, w dosłownym znaczeniu materialnym. Pisarstwo to zawód, pochłaniający cały czas i wszystkie siły pisarza. Pisarz może dorabiać, nie może zarabiać na życie czym innym niż pisaniem. Jeśli tak czyni, marnotrawi talent. Jeśli mu społeczeństwo nie pozwala wyżyć z pióra, to znaczy, że ma za nic swoją własną kulturę. Każde nie napisane dzieło to strata dla narodowej kultury. Słusznie oburzał się cały naród, że skarby tzw. wawelskie niszczały do niedawna w schowku banku kanadyjskiego. Szczęśliwie, część tych skarbów wróciła do Kraju, a reszta powinna co rychlej wrócić, gdyż emigracja nie posiada żadnego wpływu na to, aby nad nimi roztoczyć należytą pieczę, gorzej, żeby zapewnić w przyszłości ich powrót na Wawel. Istnieją jednakże inne skarby, nie wawelskie, lecz żywi pisarze, uczeni i artyści, które emigracja mogłaby otoczyć opieką, aby nie rdzewiały i nie butwiały i aby im czerw rezygnacji serc nie toczył.

Iluż pisarzy polskich na obczyźnie żyje wyłącznie z pióra? Chyba żaden, bo nie należy sądzić, że dziennikarstwo lub praca w radio to twórczość pisarska. Owszem, to niewątpliwie najszlachetniejsze zajęcia dla pisarza, który nie może wyżyć z pióra, ale zarazem obracanie tego pióra na inny, pośledniejszy użytek.

Doskonale wszystkim wiadomo, że najbieglejszy pisarz pisze tom prozy mniej więcej przez rok. Wydawca emigracyjny, który może liczyć na sprzedaż przeciętnie tysiąca egzemplarzy tomu prozy (o poezji lepiej nie wspominać), nie da za książkę większego honorarium niż pięćdziesiąt funtów. Tyle akurat kosztuje przepisanie rękopisu na maszynie. Trzeba być co najmniej Goetlem, aby wytargować sto funtów. Dzięki wyjątkowym okolicznościom, jak np. słabość niektórych wydawców do niektórych autorów, węzły rodzinne autora i wydawcy, zapobiegliwość pewnych pisarzy (ci zresztą w większości już nas pożegnali), niedoświadczenie wydawcy, prywatna subskrypcja itp., honorarium za dzieło literackie bywa wyższe, ale chyba w dziejach uchodźstwa po roku 1950 nigdy nie przekroczyło czterokrotnie wymienionej sumy. Mowa, rzecz jasna, wyłącznie o polskich wydaniach autorów emigracyjnych i to tylko na obczyźnie. Toteż pisarze traktujący swoją twórczość przede wszystkim jako życiową profesję, a nie umiejący sobie poradzić w trudnych warunkach emigracyjnych, ulegają wcześniej czy później pokusie powrotu do Kraju, czemu się wcale nie należy dziwić. O wiele przyzwoiciej wrócić samemu niż zachęcać drugich.

Liczba tysiąca egzemplarzy, które może sprzedać emigracyjny wydawca, i to w ciągu paru lat, najlepiej ukazuje szczupłość zasięgu emigracyjnej książki. Wiadomo, że do Kraju przystępu jej broni policja polityczna. Mały zasięg książki idzie w parze ze słabym pogłosem dzieła, z przyjęciem go przez opinię publiczną, z echem, jakie wydało. Byle książczyna w normalnym społeczeństwie ma spore grono odbiorców, chociażby przyjaciół autora, kolegów, biblioteki publiczne, a przede wszystkim recenzje w prasie. Czasopisma bowiem powinny zamieszczać, i zwykle w normalnych warunkach zamieszczają, recenzje wszystkich książek, jakie do redakcji wysłano. Na emigracji autor nie ma przyjaciół, albo bardzo niewielu, koledzy, wypada, żeby nie zauważyli wydania książki, czasopisma z zasady recenzji nie umieszczają. Dyskusji, ech prasowych, omówień książek nie ma, nie licząc odosobnionych wyjątków. Nie istnieją na emigracji środowiska literackie, w których by się książki wydane dyskutowało. Książka wydana na emigracji to kamień w studnię. Dobrze jeszcze, jeśli nad nią zapanuje cisza, bo bywa, że się ją poddaje zawistnym szyderstwom lub miesza z błotem. Trzeba mieć odwagę wydać książkę po polsku na obczyźnie.

Już nieraz pisało się o tym, że emigracja nasza nie posiada „pogotowia krytycznego", tj. stałych recenzentów nowości literackich, ani jakiejkolwiek „giełdy literackiej". Brak nam tym samym kryteriów ocen, a o powodzeniu książek decyduje plotka biblioteczna, czasem, znacznie mniej poważna, plotka dziennikarska. Pojawiają się też utalentowani agenci własnych produktów.

Pisma emigracyjne to średniowieczne państewka feudalne, zasklepione w murach swych miast i uznające wszystkich sąsiadów dokoła za rywali w walce o duszyczki czytelników i o rynki zbytu. Nie wolno pochwalić ani nawet zamieścić wzmianki o ukazaniu się książki znienawidzonego konkurenta, wydawcy lub autora „wrogiego" obozu, nie wolno nawet wspomnieć jego imienia. Niemcy mają na to świetny wyraz: „totschweigen". W najlepszym razie, z góry wiadomo, że autor caritasowy będzie w miesięczniku „Cywilizacja" poklepany po ramieniu i odesłany do właściwszego zajęcia niż pisanie, że tygodnik „Informacja" przy każdej okazji objaśni czytelników, że gdyby nie on właśnie, ów tygodnik, i jeszcze jedno pismo, to by nie było co czytać na emigracji, a pisma codzienne (może nie wszystkie) nie patyczkują się w ogóle i oprócz nożyc dziennikarskich stosują jeszcze gilotynę wobec niemiłych sobie osobistości, instytucji, wydawnictw i czasopism. Mysz się nie prześliźnie przez misterną sieć zakazów tych pism, chyba przez płotek płatnego kalendarzyka imprez. Czemuż się dziwić, skoro nawet pisma katolickie nie uznają się wzajemnie, a wydawnictw „Veritasu" próżno szukać w kioskach kościelnych sąsiednich Misji Polskich? Dodać trzeba, że i księgarze mają swoje humory, fantazje, sympatie i politykę. W żagiel książki emigracyjnej rzadko powieje wiatr pomyślny, nim zwali po drodze wszystkie te bariery.

Są jeszcze inne smutki gryzące pisarzy. Ileż szkód czyni moda literacka, urzeczenie nowinkami zachodnimi i pospolity snobizm! Słusznie niedawno pisał Tadeusz Nowakowski, że gdyby Borys Pasternak napisał „Doktora Żywago" jako autor emigracyjny, to by nie znalazł wydawcy, a jeśliby nawet znalazł, to by jego książka przeszła bez echa. Świat by na nią nie zwrócił najmniejszej uwagi (przypomnijmy sobie książki Naglerowej i Rudzkiej o Rosji), a czytelnicy emigracyjni wzruszaliby ramionami, że przecież to wszystko rzeczy doskonale znane.

W naszym narodowym pojęciu w sztuce dobre jest nie to, co własne, lecz to, co podobne do cudzego. Oryginalność i wartość odkrywamy zwykle po latach, czasem i po dziesiątkach lat, wtedy dopiero, gdy coś podobnego powstanie u obcych. Potem wypisuje się spóźnione laurki o polskich „prekursorach" (Norwid, Irzykowski, St. I. Witkiewicz, Goetel). Modę w piśmiennictwie polskim ustala Zachód. Wszystko co zachodnie nosi etykietę „nowoczesności" lub „ducha czasu". Jesteśmy nieprzytomnie urzeczeni Zachodem, nie uświadamiając sobie, że Zachód szuka właśnie odrębności, a nie naśladownictwa, choćby genialnego. Dreszcze zachwytu budzą w polskim czytelniku nawet utwory Franciszki Sagan. Niechby autor emigracyjny spróbował podjąć tradycję polskiej powieści, tak jak to uczynił Pasternak, świadomie nawiązując do starego Tołstoja. Ośmieszono by go jako zacofańca, epigona, prowincjonalnego skrybę.

Dwie ostatnie, a naszym zdaniem najdotkliwsze, trudności pisarza emigracyjnego to oderwanie od społeczeństwa i języka w sensie organicznym. Materiał, z którego czerpie pisarz, to życie, konflikty i problemy własnego społeczeństwa. Dostrzega on je, odczuwa i przeżywa tylko wówczas, jeśli żyje wśród społeczeństwa, jeśli jest w nie włączony, jest jego organiczną cząstką. Nie może pisarz na obczyźnie napisać powieści z życia współczesnej Polski. Jeśli nawet, przy wybitnej intuicji, uda mu się ta sztuka, jak Straszewiczowi „Kociołek na Ziemowita", to z konieczności będzie to albo satyra albo pamflet, ograniczone do małego wycinka rzeczywistości. Pisarz musi uczestniczyć w życiu, jeśli ma mu dawać świadectwo lub sądzić je. Toteż pisarzom na emigracji pozostaje przeszłość oraz podwórko uchodźcze. Śmielsi penetrują też obce kontynenty.

Tworzywo, z jakiego powstaje dzieło literackie, to język słyszany, żywy, pulsujący aktualnością, zróżnicowany społecznie, regionalnie a nawet indywidualnie, pomysłowy, odkrywczy, żartobliwy, język w ruchu. U siebie w domu pisarz może po prostu wmieszać się w tłum i spisywać gotowe dialogi i opowiadania, może zanotować setki powiedzeń, neologizmów, przeinaczeń, kalamburów, spieszczeń, imionisk, żartów słownych, wyrazów poetyckich. Może czerpać pełną miarką ze skarbnicy językowej. A przede wszystkim codziennie odnawia i bogaci język własny, odżywia go naturalnym pokarmem. Natomiast język, którym się posługujemy na obczyźnie, jest skostniały, wysychający, traci świeżość, giętkość i barwę. Posiada dopływy tylko obcych wyrazów. Ubożeje z dnia na dzień, wyrodnieje i staje się coraz mniej elastyczny. Bogactwo słownika zastępują „powiedzonka", starte frazesy. Po chwili rozmowy z rodakiem na obczyźnie łatwo rozpoznać, jakie pismo polskie rozmówca czytuje. Język emigrantów traci indywidualność, przestał być twórczy. Pisarz w tych warunkach zdany jest na własne zapasy oraz na lekturę pism i książek z Kraju. Ale żaden z autorów emigracyjnych nawet marzyć nie może o słowniku Hłaski, Tyrmanda, czy Stryjkowskiego, a jeśli użyje wyrazu lub powiedzenia krajowego świeżej daty, od razu rzuca się to w oczy jak kwiatek przy kożuchu. Własny język człowiek sobie przyswaja przyrodniczo, organicznie, wprost z życia, a nie ze słowników i książek.

Tak więc na pytanie postawione w tytule: „Czy istnieje literatura na emigracji" można odpowiedzieć: Bardzo dziwne, ale istnieje. I co dziwniejsze, zapowiada się coraz doskonalej.

J. B.

Notatki

DZIWNA RZECZ: co roku Związek Pisarzy, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, ‚Kultura", a czasem i inne instytucje przyznają co najmniej dziesięć nagród literackich, a ciągle jeszcze znajduje się ktoś godny nagrody, a nawet ktoś pokrzywdzony, komu by się nagroda słusznie należała, ale jej nie dostał. Omyłki zdarzają się bardzo rzadko.

W sezonie bieżącym SPK nagrodziło już czterech pisarzy, „Kutura" włożyła laur na skronie Gustawa Herlinga Grudzińskiego, a Związek Pisarzy rozdał cztery nagrody powierzone jego kompetencji i jedną własną, skromną, ale gustowną. Sporo pieniędzy, o wiele więcej radości, najwięcej zaszczytu. Nagrody Związku przypadły w tym roku: Marianowi Hemarowi, Ferdynandowi Goetlowi, Witowi Tarnawskiemu, Zygmuntowi Zarembie i Florianowi Śmieji. Wśród pokrzywdzonych wymieniano publicznie: Stanisława Balińskiego, Marię Danilewiczową, Rafała Malczewskiego. Niemniej zanosi się na to, że od roku 1961 trzeba będzie kolejkę zacząć od nowa, nagradzając już raz nagrodzonych. Chyba że się nagle ujawnią nowe talenty.

Wieńczenia laureatów dokonano tego roku w wyjątkowej oprawie. „Ognisko Polskie", fundator pierwszej nagrody, udzieliło bezpłatnie sali na uroczystość. Oczywiście zatem, pierwszą salę, z fotelami, zalała śmietanka publiczności londyńskiej, a drugą, ze zwykłymi krzesłami, podśmietanie. Panie w futrach, mimo straszliwej duszności na sali, wyperfumowane, w dygach i ukłonach, panowie ożywieni i życzliwi sobie. Atmosfera duchowej fety.

Na estradzie, z tradycyjnym półgodzinnym opóźnieniem, wystąpiło pięciu laureatów, pięciu „sponsorów" (panegirystów i zastępca Związku Pisarzy. Przemówienia były ładne, gładkie, dowcipne, w sumie przyjemne. Tyle że o parę tonów za wysokie. Trudno, rzecz jasna, źle mówić o laureacie w czasie jego wieńczenia, ale chyba by można zaoszczędzić nieco superlatywów. Bo w postawionym na scenie wybrańcu odkrywa się nagle takie mnóstwo talentów, takie mistrzostwo we wszystkim, czego tylko tknął w życiu, że aż wierzyć się nie chce, iż to ten sam, znany nam skąd inąd jak zły szeląg, pisarz, krytyk czy kandydat na pisarza. W dodatku panegiryści z reguły wychodzą poza rzemiosło. Sławią cnoty moralne, polityczne, towarzyskie, osobiste, rodzinne laureatów. Weszło w zwyczaj napomykać nawet o ich żonach.

Nadto przewodniczący zebrania, Ignacy Wieniewski, wypowiedział zwięzłe, ale słodkie panegiryki o każdym z panegirystów, co również w drodze rewanżu czynili na ogół nagrodzeni, nie zapominając o przewodniczącym zebrania, poza tym każdy z laureatów pochwalił kilku swoich przyjaciół pisarzy, tak że w rezultacie wszyscy sławili się wzajemnie. Może dlatego na sali było tak duszno.

* ✱ *

WYSTRZELONO już w emigracyjną próżnię kosmiczną nową rakietę pod nazwą „Kontynenty - Nowy Merkuriusz". Bardzo sympatyczne jest to, że w pierwszym numerze nowego „Merkuriusza" zespół odwołał, późno, ale szczerze, znaczną część połajanek z ostatniego numeru starego „Merkuriusza". Miło przeczytać kulturalne i rozsądne uwagi na ten temat Wojciecha Gniatczyńskiego i Bogdana Czaykowskiego. Poza tym... życzymy powodzenia na nowej drodze życia. I koniecznie porządnego korektora. Brak korektora nie przyniesie szkody chyba tylko nowoczesnej poezji.

„House-warming party" nowego pisma odbyła się w Instytucie Historycznym Generała Sikorskiego. Za stołami redakcyjnymi zasiadło dziesięciu młodych autorów, po stronie publiczności 35 osób, w czym najwyżej dziesięć poniżej lat 40. Czyli że bez względu na nadawców adresaci stale są ci sami. Większość autorów czytając utwory trzymała, zwyczajem angielskim, ręce w kieszeni. Po angielsku również mówcy nie wysilali głosu. Najżywiej mówił swoje wiersze Jerzy S. Sito. Szkoda tylko, że zwyczajem przez siebie wprowadzonym nie skomentował swoich utworów, skutkiem czego wiele walorów jego poezji niewątpliwie umknęło uwagi słuchaczy.

* ✱ *

JAN ROSTWOROWSKI, syn wielkiego Karola Huberta, napisał w latach wojennych, mając wtedy lat bodaj kilkanaście, piękny poemat pt. „ Dni ostatnie i noce pierwsze". Potem zamilkł na długie lata. Odezwał się znowu dopiero niedawno, ogłaszając dwa niezmiernie ciekawe tematycznie i świeże formalnie poematy. Dnia 30 stycznia odbył się wieczór autorski Rostworowskiego w Instytucie im. Gen. Sikorskiego. Niestety, utwory, które czytał sam autor i Tola Korian, nie spełniły rokowanych nadziei wysokiego lotu. Zwłaszcza wulgarny traktat satyryczny prozą zepsuł wrażenia dobrej poezji.

* ✱ *

Z NOWYM ROKIEM na firmamencie kulturalnym emigracji pojawiły się trzy nowe punkty świetlne: teatr dla dzieci, artystyczne dzieło Reginy Kowalewskiej i Jadwigi Domańskiej, tygodnik „Tydzień Polski", od dawna zapowiadany przez wydawnictwo „Dziennika Polskiego", i ambitna „Londyńska Biblioteka Literacka" Bolesława Świderskiego.

Prócz „Biblioteki Polskiej", żywą działalność wydawniczą i przekładową zapowiada „Kultura" (m. in. zbiór opowiadań Herlinga Grudzińskiego i „Historię Polski" Pawła Zaremby), „Wiadomości" wydadzą tom poezji zebranych Kazimierza Wierzyńskiego. St. Lam zapowiada encyklopedię Polaków na obczyźnie. „Księga Mickiewiczowska" Polskiego Towarzystwa Naukowego właśnie wyszła, trzeci i ostatni tom „Kampanii wrześniowej" Komisji Historycznej Polskich Sił Zbrojnych ma się ukazać niebawem. W rękopisach znajduje się sporo tomów prozy i poezji. Ignacy Wieniewski ma gotów pełny przekład „Iliady". Napoleon Sądek napisał komedię o tematyce emigracyjnej. Eppur si muove...

* ✱ *

CZYTELNICY „Notatek" może nie zwrócili uwagi, że tytuł tego działu złożony jest kursywą, co w języku obecnego redaktora ŻYCIA oznacza, że ani on osobiście, ani jego zespół doradczy, nie podpisują się pod tą rubryką. Że niby te notatki nie pochodzą od Redakcji, lecz tylko od pana J. B. A więc odtąd będę się podpisywał sam.

J. B.

TEKI HISTORYCZNE

Tom IX*), za rok 1958 (XII wydawnictwa) ukazał się jak poprzednie pod redakcją Komitetu (przewodniczący M. Kukiel, czynności redaktora pełni M. Danilewiczowa). Przynosi on w rozprawach pracę K. Lanckorońskiej „W sprawie sporu między Bolesławem Śmiałym a św. Stanisławem" ze świeżą, zastanawiającą interpretacją źródeł i rozszerzeniem podstawy badawczej; daje zupełnie nowe wyjaśnienie sprawy. Oskar Halecki w rozprawie „Spór o Warneńczyka" polemizując z prof. Janem Dąbrowskim broni króla przed zarzutem krzywoprzysięstwa w oparciu o niewyzyskane dotąd źródła tureckie i rzymskie. W. Weintraub pisze o „Humaniście portugalskim w Polsce XVI w." (Damiao de Gois) przedstawiając epizod bardzo ciekawy a nieznany. M. Kukiel w „Uwagach i przyczynkach do genezy rewolucji listopadowej" na podstawie m. in. francuskiej korespondencji dyplomatycznej ustala raz jeszcze, że przyczyną bezpośredniego wybuchu była nakazana przez Mikołaja mobilizacja wojska polskiego przeciw Francji i że wybuch ten udaremnił nieuniknioną prawie interwencję wojenną cara. St. Bóbr-Tylingo pisze na podstawie archiwów francuskich i angielskich o „Ogólno-europejskiej interwencji dyplomatycznej 1863". — W dziale artykułów trzy: M. Kukiela, St. Biegańskiego, P. Wandycza omawiają aktualne zagadnienia historiografii polskiej w Kraju w związku z niedawnym zjazdem powszechnym historyków polskich i dyskusjami, które go poprzedziły.

W „Nekrologu" wspomnienia o Wł. Pociesze (Halecki) i Adamie Żółtowskim (Folkierski).

W dziale recenzji L. Koczy omawia zeszyt próbny „Słownika starożytności słowiańskich"; Z. Jordan „Rozważania o historii" Witolda Kuli; O. Halecki „Armorial" Konarskiego; M. Kukiel wydania pamiętników Niemcewicza i Kilińskiego i t. I Dzieł Lelewela, rozprawę włoskiego historyka wojskowego P. Pieri o Bianco di Saint Joricz, wojskowym teoretyku węglarstwa i jego wpływie na prace Mazziniego i polską Stolzmana, oraz książkę Krystyny Wyczańskiej o Polakach w Komunie. P. Zaremba recenzuje monografię p. Lerskiego „A Polish Chapter in Jacksonian America" (o stosunku Stanów Zjednoczonych do rewolucji listopadowej i emigracji polskiej). P. Wandycz omawia dzieło H. Roosa: „Polen und Europa"; J. Hoffman „Ukraińskie Wołyniana".

Kronika przynosi dane o życiu naukowym w dziedzinie historii na obczyźnie i w Kraju.

Jest to trzeci z kolei tom "Tek", w którym na plan pierwszy wysuwają się losy historiografii w Polsce.

---

*) TEKI HISTORYCZNE, tom IX, listopad 1958. Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Historycznego na Obczyźnie. Nakł. Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego.

ZDZISŁAW E. WAŁASZEWSKI

„Cudze chwalicie, swego nie znacie..."

Słyszy się często — wśród jałowych narzekań emigracyjnych — gorzkie słowa krytyki, piętnujące nasz istotnie szwankujący nieraz zmysł organizacyjny. Przypominamy sobie, iż taka a taka grupa emigracyjna, tyle a tyle razy mniej liczebna od polskiej, umiała stworzyć placówki naukowe, instytuty wiedzy o kulturze swego narodu, kupuje domy i przekształca je w prawdziwe centrale myśli twórczej i pracy zakrojonej na daleką metę, że kształci ekipy historyków, ekonomistów, że udziela nawet stypendiów, że wszystko to wreszcie stoi na dość silnych podstawach finansowych. Jest w tym oczywiście dużo prawdy i niejednokrotnie trzeba uchylić kapelusza wobec istotnych osiągnięć współwygnańców łotewskich, litewskich czy ukraińskich. Robią oni dużo i zapewne proporcjonalnie więcej na ilość dusz niż my, ale fakt, że jest ich mniej, sprzyja większej ofiarności i centralizacji wysiłków, bo pobudza solidarność. U nas bez wątpienia łatwiej o pewne rozdrabnianie wysiłków i rozpraszanie energii, i jakkolwiek jest to w pewnym sensie nieuniknione, pobudza jednak do melancholijnych wniosków.

Czy narzekania nasze są jednak zawsze uzasadnione? Czy nie odgrywa w nich czasem roli pewien romantyczny katastrofizm, tak łatwo pociągający za sobą krytykę w czambuł wszelkich poczynań emigracyjnych? Rozłam polityczny, główne źródło zniechęcenia, podkopał również zaufanie do instytucji naukowych i kulturalnych, z których winniśmy i słusznie możemy być dumni. My również możemy się pochwalić czymś konkretnym i wartościowym. Mamy dwie bogate i doskonałe biblioteki, kilka instytutów i towarzystw naukowych, które publikują swoje prace w specjalnych wydawnictwach, częso w języku angielskim. Mamy świetnie rozwijającą się Macierz Szkolną, z siecią szkół sobotnich, itd., itd. Ale to jeszcze nie wszystko. Mamy bowiem coś, czym się rzeczywiście wyróżniamy wśród pozostałych emigracji, a mianowicie dwie placówki uniwersyteckie: Szkołę Nauk Politycznych i Społecznych oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Temu ostatniemu pragnę dziś poświęcić kilka zasłużonych uwag.

PUNO, to nie szkółka, to wyższa uczelnia, jak inne na świecie. Obowiązuje w niej ściśle regulamin uniwersytetów polskich sprzed 1939 roku, tak w zakresie wymagań związanych z dopuszczeniem na studia, jak również w dziedzinie przedmiotów studiowanych i egzaminów kwalifikujących kandydata do magisterium. Istnieje na PUNO tylko jeden wydział, humanistyczny, gdyż tylko ten był tutaj w zasadzie potrzebny. Dla studiów na innych fakultetach stoją przed nami otworem doskonale wyposażone uniwersytety krajów zamieszkania. Nieliczne instytuty studiów słowiańskich przy tych uczelniach nie mogły i nie mogą wchłonąć wszystkich kandydatów na studia polonistyczne czy historii polskiej, chociażby ze względu na wymagania językowe, niemożność otrzymania stypendiów, wiek i rozproszenie reflektantów. Temu stanowi rzeczy stara się zapobiec Polski Uniwersytet na Obczyźnie.

PUNO nie należy do instytucji o szerokim rozgłosie, o jego pracy wie się stosunkowo niewiele, szczególnie poza Londynem. Ale nawet sam Londyn nie docenia często tego wysiłku. A jednak, wbrew wszelkim przewidywaniom, nasz uniwersytet żyje już ósmy rok. Żyje i pracuje, a wyniki i osiągnięcia jego są coraz pokaźniejsze. Przeprowadzono kilka habilitacji, przyznano kilka doktoratów i kilkanaście stopni magisterskich. Dodatkowo dość liczna grupa studentek i studentów stoi u progu magisterium. Do osiągnięć zaliczyć trzeba także wydanie licznych skryptów powielanych, które w normalnych warunkach stanowiłyby pozycje książkowe (były i takie, mimo trudności i kosztów z tym związanych). Nie trzeba również zapominać, iż od siedmiu lat trwają stałe wieczorowe wykłady z polonistyki, historii Polski, filozofii, wiedzy o świecie antycznym, i z innych nauk pomocniczych. Grono wykładowców składa się z profesorów uniwersyteckich z czasów przedwojennych, obok wielu sił młodszych, które się doktoryzowały lub habilitowały już poza Polską. Nie trzeba zapewne dodawać, że pracę swą oddają oni bez myśli o korzyściach materialnych lub przy minimalnych wynagrodzeniach, które często nie mogą nawet pokryć kosztów podróży na wykłady (odbywających się obecnie na trzecim piętrze w domu Biblioteki Polskiej, 5 Princes Gardens, S.W.7). Idzie tu o pracę ideową, o przeszczepienie nieskrępowanych przez koniunkturę zainteresowań historią i literaturą polską, aby powiększyć szeregi naukowców i badaczy w tej dziedzinie. Jest to oczywiście praca długodystansowa, à longue haleine, i wkład naszego uniwersytetu i jego wychowanków zmierzyć zdołają dopiero późniejsze pokolenia. Jednak zdrowo myślący Polak nie może nie doceniać już dzisiaj tych wysiłków, a tym bardziej nie powinien ich minimalizować. Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, iż zasadnicza wartość PUNO leży w dostarczaniu studentom — oprócz wiedzy — rzetelnej metody naukowej i kierownictwa w wyżej wymienionych studiach, a dalsze koleje i wyniki studentów PUNO zależeć będą od ich własnych zdolności i wytrwałości. Tę rzetelną metodę naukową i kierownictwo PUNO daje w równej mierze jak uniwersytety polskie przed wojną, co potwierdzają stanowiska zajmowane przez byłych studentów i oficjalne uznanie dyplomów.

Nie są więc studia na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie czymś, co pozbawione jest realności. Australia, Abisynia, Dania, Stany Zjednoczone (niekiedy), a ostatnio i Wielka Brytania, uznały je za ekwiwalentne z dyplomami przedwojennymi. Na terenie brytyjskim, w szkolnictwie, pociąga to za sobą dość pokaźne zwiększenie gaży nauczycielskiej. Nie są więc studia na PUNO, jak się mylnie twierdzi, tylko studiami dla przyjemności.

Jedną z bolączek PUNO jest bardzo mały przypływ nowych studentów. Warto może tutaj dodać, że studia polonistyczne lub historyczne można też prowadzić drogą korespondencyjną pod kierownictwem profesorów oraz otrzymać zaliczenie pewnych przedmiotów studiowanych na uczelniach obcych. Nie tylko więc istnieją możliwości rozpoczęcia kursu przez każdego chętnego maturzystę z najdalszego nawet zakątka świata, ale zaliczenie takich przedmiotów jak język klasyczny lub nowożytny, filozofia itp. poważnie ułatwia i skraca w czasie zdobycie kwalifikacji magisterskich polskich. Opłaty za studia i skrypty są nadal minimalne, mimo iż PUNO przestało już otrzymywać pokaźną dotację od Funduszu Społecznego Kompanii Wartowniczych z Niemiec. Wkrótce ma powstać jeszcze przy PUNO studium slawistyczne, którego zadaniem będzie między innymi nauczanie języka rosyjskiego i przygotowywanie słuchaczy do zawodu tłumaczy z tego języka na język angielski. Ta inicjatywa może spotkać się z pewnym sukcesem wśród naszych młodych inżynierów, którzy wyszli z uczelni angielskich i nieraz już stwierdzali, że znajomość rosyjskiego staje się w wielu specjalnościach technicznych jednym z decydujących wymagań, aby zdobyć znacznie odpowiedzialniejsze i wyższe stanowisko w przemyśle.

Na zakończenie tego artykułu chciałbym się jeszcze zastanowić nad przyszłością naszej uczelni. Nie rysuje się ona różowo. Konieczne jest przełamanie milczenia i obojętności wokół tej tak ważnej instytucji emigracyjnej, aby zwiększyć chociażby nieznacznie grono zapisujących się na studia. Bez nich uczelnia ipso facto będzie musiała przestać istnieć. A przecież to, że Polski Uniwersytet na Obczyźnie powinien istnieć pracować nie pozostawia wątpliwości; zechciejmy więc mu pomóc bądź przez zapisywanie się na studentów, bądź przez dotacje finansowe. Okażemy w ten sposób, że umiemy docenić także własne wysiłki, tak jak doceniają je często cudzoziemcy. W historii PUNO są tego liczne i budujące dowody. Pragnę wspomnieć chociażby profesorów uniwersytetu kopenhaskiego, którzy ze względu na niemożność otrzymania wizy przez studenta PUNO, przeegzaminowali kandydata na miejscu, a przekazując wyniki odmówili przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia zapewniając, iż uważają to za zaszczyt, że mogli dopomóc i współpracować z jedynym uniwersytetem uchodźczym. Równie ujmująco, w podobnej sprawie, potraktował prośbę PUNO profesor uniwersytetu w Princeton. Podkreślił on w swym liście, że mając upoważnienie od uniwersytetów amerykańskich do przeprowadzania egzaminów studentów tych uniwersytetów służących w lotnictwie amerykańskim, (chodziło o studenta, który odbywał służbę w lotnictwie), potraktował on PUNO na równi z uniwersytetami amerykańskimi. Wreszcie dodać należy, że trzech doktorantów PUNO jest wykładowcami na uniwersytetach w Canberra i Addis Abbeba, gdzie przynoszą chlubę Polsce i służą dobrej sprawie.

PUNO obchodził niedawno siódmą rocznicę swego powstania. To nie tylko okazja do życzeń. W dzisiejszej sytuacji, to przede wszystkim okazja do zainteresowania się jego pracami i umożliwienia mu dalszego ich rozwoju.

Zdzisław E. Wałaszewski

NASZE SPRAWY

Co wolno, a czego nie wolno?

Siedzimy w obcym nam świecie i powoli zapominamy o tym, jak bardzo się on od nas różni. To niedobrze. Za bardzo wskutek tego nasiąkamy obcym wpływem.

Nie mówię tu o zagadnieniu wynarodowienia. To osobna sprawa. Dotyczy ona ludzi najsłabszych. Mówię o wpływie pojęć, uczuć i poglądów, kształtujących oblicze moralne i intelektualne człowieka. Nawet człowiek mocny, uważający się za niezachwianego Polaka, ulega bardzo często temu wpływowi i stopniowo się od polskiej kultury i od polskiej etyki oddala.

Życie polskie oparte jest na podstawach katolickich. A tymczasem świat anglosaski odszedł od Kościoła i jego życie ma założenia w swej istocie nie-katolickie. Po części protestanckie, a po części ateistyczno-postępowe i wolnomularskie.

Od świata katolickiego różni się świat anglosaski przede wszystkim pod względem etyki. Granica między tym, co wolno, a czego nie wolno, przebiega tu inaczej niż u nas. Warto bliżej się przypatrzyć zachodzącym pod tym względem różnicom.

Na przykład w praktyce nie istnieje tu pojęcie lichwy. Jeśli ktoś komuś pożycza pieniądze, nic nie stoi temu na przeszkodzie, by brał jaki chce procent. W Polsce i prawie we wszystkich krajach kontynentu europejskiego branie procentu powyżej pewnej określonej, bardzo nisko wymierzonej granicy było przestępstwem karnym, a jeśli się z ominięciem prawa zdarzało, opinia publiczna traktowała je jako szczególnie podłe i plugawe łajdactwo.Tutaj lichwa jest zjawiskiem ogólnie przyjętym. Liczne biura pożyczkowe, których szyldy widujemy na ulicach przedmieść i których ogłoszenia czytamy w gazetach, to są w istocie przedsiębiorstwa lichwiarskie. W istocie nasze pojęcia o lichwie wywodzą się z etyki katolickiej, która lichwy zabrania; ongiś wszelkie pobieranie procentów było katolikom wzbronione, dzisiaj uważa się, że procenty odpowiadające rzeczywistemu zwiększeniu dochodu, jaki przynosi otrzymany drogą pożyczki kapitał są dozwolone, ale procent będący wynagrodzeniem za wyświadczoną przysługę, czy tym bardziej korzystaniem z tego że ktoś jest w trudnym położeniu, są nadal uznawane za rzecz niemoralną. W etyce świata anglosaskiego (oczywiście poza mniejszością katolicką), a zwłaszcza w etyce anglosaskich kół gospodarczych, w pojęciu lichwy nie ma nic niemoralnego.

Tak samo obca naszej etyce jest zasadnicza postawa uczestnika życia gospodarczego. Postawa świata gospodarczego anglosaskiego jest w swej istocie drapieżna i oparta na bezwzględnym egoizmie i walce. Łagodzi tę bezwzględność, a nawet nieraz w praktyce unicestwia, szereg okoliczności natury praktycznej, takich jak przywileje i prawa personelu, wywalczone przez związki zawodowe, jak świadomość, że nie opłaca się personelu źle traktować i że lepiej jest go do siebie przywiązać, jak ustalone normy zwyczaju i grzeczności. Ale w założeniu businessman ma prawo powodować się bezwzględnym egoizmem. Konkurenta ma prawo bezlitośnie zniszczyć, złamać go. Pracownika ma prawo eksploatować i pozbyć się go, jeśli przestał być potrzebny. Jeśli tak wygodniej, ma prawo kłamać (jakimże morzem kłamstwa jest reklama!). Zauważmy jak bezwzględne jest tutejsze ustawodawstwo o nieszczęśliwych wypadkach przy pracy! W zasadzie, pracodawca tutaj tylko wtedy odpowiada za wypadek, o ile wina jest po jego stronie, a nie po stronie pracownika. To znaczy konsekwencje własnej nieuwagi, czy niezręczności ponosi pracownik sam. U nas pracodawca zawsze odpowiadał za wypadek; założeniem było, że to on musi tu ponosić ryzyko finansowe.

Pojęcie „homo oeconomicus", człowieka, który w swoim postępowaniu powoduje się tylko i wyłącznie egoistycznym interesem materialnym, zrodziło się w Anglii; w krajach o kulturze katolickiej nawet by ludziom nie przyszło na myśl, że można działalność gospodarczą tak z reszty życia wyodrębnić. Także i doktryna Marksa jest rezultatem obserwowania stosunków gospodarczych angielskich w XIX stuleciu. Stosunki te były tak w swoich zasadach potworne, że dały podstawę do równie potwornych wniosków (na przykład do materialistycznej interpretacji dziejów) i do jeszcze potworniejszej krytyki i kontr-programu.

Równie obce pojęciom katolickim są anglosaskie pojęcia o tym, co wolno, a czego nie wolno państwu i tym co mu służą. Protestantyzm w istocie uważa, że państwo nie jest związane etyką, obowiązującą ludzi prywatnych; państwo jest niejako ponad etyką, może popełniać czyny, które w stosunkach prywatnych byłyby uznane za zbrodnie i łajdactwa. Pogląd ten tkwi mocno w nauce Lutra. Zabarwił on w sposób wybitny politykę państw niemieckich. Zabarwił on także i politykę państw anglosaskich.

Przechodzę tu do ważnej sprawy. W polityce państw anglosaskich ogromną rolę odgrywają organa państwowe, słabo, lub wcale nie kontrolowane przez aparat konstytucyjny i sądy. Zadaniem tych organów jest przenikanie i rozkładanie państw obcych, i to nie tylko wrogich. Mówię o aparatach wywiadowczych, oraz o związanych z nimi organizacjach dywersyjnych i terrorystycznych, działających zwłaszcza w czasie wojny.

Mieszkamy dostatecznie długo wśród społeczeństw anglosaskich, by zdać sobie z tego sprawę, że aparaty te odgrywają tu nieskończenie większą rolę niż w tradycyjnym ustroju państw kontynentu europejskiego i że powodują się swoją własną etyką, która jest z etyką chrześcijańską w jaskrawej sprzeczności. Widujemy na przykład nieraz filmy o działalności grup komandosów i aparatów wywiadowczych i kontrwywiadowczych. Filmy te dają nam wgląd w metody postępowania tych organizacji i w ich etykę. Rozbieżność między tym, co wolno prywatnemu człowiekowi, względnie, co wolno było żołnierzowi wedle tradycyjnych pojęć rycerskiej Europy, a co wolno jest członkowi tych organizacji, jest uderzająca. Ludzie ci popełniają skrytobójstwa, napadają znienacka i mordują po ciemku, lub korzystają z tego, że ubrani są po cywilnemu. Popełniają samosądy na ludziach, którym przestali ufać. Wprowadzają w błąd, kłamią, oszukują. Posługują się — jako środkiem działania — szantażem, rozpustą, przekupstwem. I są w tym wszystkim zupełnie bezkarni. Nikt im tego nie ma za złe i oni sami ani trochę nie uważają, że popełniają coś złego.

Głośny pisarz angielski Graham Greene świeżo ogłosił powieść pt. „Our man in Havana", która jest satyrą na aparaty wywiadowcze. Powieść ta w formie skarykaturowanej, ale z pewnością z ukrytym na dnie jądrem prawdy — wyśmiewa lekkomyślność i łatwowierność tych aparatów, ich naiwność w ocenie rzeczywistości, ich głupotę i niezdarność. Zostawmy rodakom Greene'a ocenę, ile w tym jest krytyki usprawiedliwionej, a ile przesady, czy nawet paszkwilu. Nas obchodzi co innego. Z powieści Greene'a wyłania się obraz czegoś gorszego, niż organizacji działającej niedołężnie, bo organizacji zarazem niemoralnej i bezkarnej. Agenci kilku różnych wywiadów na wyspie Kubie prowadzą między sobą małą wojnę, w której popełniane są skrytobójstwa, zainscenizowane są „nieszczęśliwe wypadki" i inne podobne zbrodnie.

Ustalmy fakty etyczne. Każde państwo musi mieć wywiad i kontrwywiad. Szpieg w obcym kraju nie zawsze może mówić prawdę. Element zatajania prawdy jest nieodzownym czynnikiem w jego służbie. Aparat wywiadowczy i kontrwywiadowczy, a także aparat policyjny, nie może wyrzec się korzystania z pomocy łajdaków, zdrajców, denuncjantów, ludzi przekupnych. W obronie koniecznej człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie może zabić. Ale istnieje granica między eksploatowaniem istniejącego łajdactwa, a popełnianiem go, lub rozszerzaniem. Także wywiadowcę, a tak samo policjanta, obowiązują zasady etyki i honoru. W imię tych zasad lepiej jest przejawić mniejszą, że użyję angielskiego terminu, „efficiency" (sprawność), ale za to pozostać państwem, które w swoich metodach postępowania jest chrześcijańskie i rycerskie.

Aparaty wywiadowcze i dywersyjne za bardzo się w świecie rozrosły. A przecież to nie aparaty wygrywają wojny. Wygrywa je żołnierz w boju, jego siła liczebna, jego uzbrojenie, jego wyszkolenie i duch, oraz sposób, w jaki jest on dowodzony. Pomoc, jaką mu dają aparaty wywiadowcze, jest istotna, ale drugorzędna. Szkoda, jaką przyniosłoby pewne zredukowanie tej pomocy, byłaby w całym świecie okupiona bardzo znacznym zmniejszeniem bezprawia, gwałtu, samowoli i wszelkiego łajdactwa.

Chorobliwy i karykaturalny rozrost w świecie aparatów wywiadowczych jest winą świata anglosaskiego. Co to jest aparat amerykański — widać najlepiej w krajach Ameryki Środkowej i Południowej. Wpływ zakulisowy amerykański w tych krajach, idący potrójnym torem: wpływu wielkich firm kapitalistycznych, lóż masońskich i aparatu wywiadowczo-dywersyjnego, jest od szeregu pokoleń czynnikiem zwiększającym w nich anarchię, upadek moralny i wszechstronny rozkład. Warto czytać książkę katolickiego

(Dokończenie na str. 29)

LISTY I UWAGI

3000 POWIESZONYCH

(SPROSTOWANIE)

Michał Dobriański, autor artykułu o Unii Hadziackiej (ŻYCIE, grudzień 1958), prosi nas o sprostowanie pomyłki, która nastąpiła przy przepisywaniu ukraińskiego tekstu:

„Jak powiada rosyjski historyk, G. Karpow, na rozkaz wojewody moskiewskiego w Kijowie, Jerzego Barjatyńskiego, w akcji represyjnej za Unię Hadziacką, powieszono na drogach kijowskich **ponad trzy tysiące "zdrajców",** — a nie 300.000.

P. Dobriański dodaje w swoim liście, iż jest mu tym bardziej przykro, iż sam zawsze występował przeciw wyolbrzymianiu tzw. „krzywdy narodowej".

CO WOLNO, A CZEGO NIE WOLNO?

(Dokończenie ze str. 28)

pisarza angielskiego E. Waugh'a o Meksyku („Robbery under Law: The Mexican Object-Lesson", Londyn 1939), by zrozumieć złowrogie wyniki tego wpływu! W Europie, zwłaszcza w Hiszpanii i Portugalii (także zresztą i w Ameryce Południowej), a w pewnym stopniu również we Włoszech, ruchy podziemne, podsycane przez Wielką Brytanię w erze napoleońskiej, stały się pożywką, na której na całe stulecie wyrosły prądy rewolucyjne, anarchiczne i masońskie. Także i ruchy podziemne z ostatniej wojny zgoła nie wyszły krajom kontynentu europejskiego na zdrowie.

Aparaty wywiadowcze anglosaskie były w wielu krajach przedmiotem naśladownictwa. Co tu obwijać w bawełnę! Polska „dwójka" była próbą takiego naśladownictwa. Była ona aparatem, który chciał być czymś więcej niż służbą wywiadowczą, bo podporą rządów i zakulisowym elementem siły i dyktatorskiej władzy. Wprowadziła ona w życie polskie, w formie karykaturalnej i wynaturzonej, liczne chorobliwe objawy, z takim talentem opisane w powieści Greene'a.

Oby pobyt w świecie anglosaskim otworzył nam oczy na te zjawiska i nauczył nas, jak mamy Polski przed nimi bronić!

Innym przejawem uważania, że państwo nie jest skrępowane etyką, jest system, stosowany w ubiegłej wojnie, bombardowania miast bez względu na ofiary, jakie poniosą kobiety i dzieci i w ogóle ludność cywilna. Wystarczy wymienić bomby atomowe w Hiroszimie i Nagasaki, bezsprzecznie jedną z największych zbrodni w ubiegłej wojnie, a także okrutne bombardowanie Hamburga, Drezna, Cassell i innych miast niemieckich.

Wniosek ogólny sprowadza się do tego, że musimy się bronić przez poddaniem się pojęciom etycznym anglosaskim. Nasza etyka jest inna, jest katolicka — i musimy ją zachować.

Polonus

O KRYTYKĘ CHRZESCIJANSKĄ

W zachęcie do dyskusji (ŻYCIE nr 11, str. 15) na temat Marksa, podał Jan T. właściwie dwa tematy do rozważenia. Pierwszy o Marksie, nie wydaje mi się tak aktualny. Marks na łamach ŻYCIA i innych wydawnictw miał poważnych krytyków w osobach teologów, ekonomistów, filozofów oraz publicystów katolickich i niekatolickich. W Warszawie przed wojną istniała instytucja zajmująca się wyłącznie źródłowym badaniem komunizmu i wydała kilka grubych tomów dokumentacji o doktrynie i systemie. Natomiast zawsze ważną i aktualną sprawą jest poziom i ton krytyki chrześcijańskiej. Co innego bowiem jest dysputa o gorącym zabarwieniu wiecowym, co innego potykanie się na szpaltach prasy brukowej ku uciesze czytelnika, a zupełnie co innego jak najbardziej zbliżona do obiektywizmu krytyka chrześcijańska. Tymczasem w bieżącym roku w londyńskiej prasie katolickiej odbyło się parę gorszących widowisk przypominających napady rozjuszonych brytanów. Nie chodzi tu o to, czy napadnięta „ofiara" miała rację czy nie, ale czyż w ten sposób udziela się słusznych nauk? Osoba krytykowana została zmiażdżona, wyśmiana, sponiewierana. Podobnie w ŻYCIU agresywność J. B. bywa bardzo nie na miejscu. Buńczuczna napastliwość jest niepoważna, a złośliwość nie zaprawiona humorem zawsze szpetna.

Zastrzegam się, że nie chodzi mi o krytykę w rękawiczkach, nie każdy jest Łabędziem Sabaudii. Innym językiem przemawia św. Paweł, a innym św. Łukasz. Sądzę jednak, że w każdym wypadku krytyków chrześcijańskich obowiązuje kultura serca. Teoretyczne obnoszenie godności człowieka przy praktycznym poniewieraniu jej w przeciwniku umniejsza godność w ogóle.

M. M.

TRZY UWAGI

Otrzymałam grudniowy numer ŻYCIA i mam następujące trzy uwagi:

1. Miło mi bardzo, że p. T. Felsztyn uważa artykuł „O porządkowaniu myślenia" za „świetnie, jasno i przekonywująco napisany", ale właśnie tylko tego rodzaju pochwałę lub naganę, odnoszącą się do formy, mogę przyjąć pod swym adresem. Co do treści bowiem, podałam poglądy Nicholla, nie własne. O logice matematycznej, czy logicznym pozytywizmie mam zbyt „zielone" pojęcie, by wypowiadać się na swój rachunek. Uwagi p. Felsztyna stanowią cenne naświetlenie tej trudnej do zrozumienia a fascynującej, sprawy, jaką jest usiłowanie zobaczenia jakiegoś przekroju czy rzutu rzeczywistości za pomocą matematyczno-fizycznego opisu, że się tak po amatorsku i na pewno niefachowo wyrażę. Parę lat temu stronami wypisywałam myśli Simone Weil, może dlatego, że „mój" Bóg jest precyzyjnie matematyczny. Nieraz ogarnia mnie chwalebna żądza wiedzy, np. aby chociaż „zobaczyć co to jest" metageometria, ale akurat trzeba (a może wcale niekoniecznie trzeba?!) iść na opłatek harcerski, zapakować paczki do Polski, odpisać na listy... i na tym się oczywiście kończy. W związku z uwagami p. Felsztyna warto nadmienić, że artykuł J. F. Drewnowskiego w „Znaku" (listopad 1958) pt. „U progu nowoczesnej syntezy filozoficznej" przynosi ciekawy materiał z tej dziedziny, jak np.: słowa prof. Łukasiewicza o idealnej konstrukcji, konieczność porządkowania pojęć takich, jak niedorzeczny, niewyobrażalny, niepojęty, podkreślenie rozpowszechnionego błędu jakoby sprawy niematerialne były wyabstrahowanymi elementami zjawisk materialnych i były w nich jakoś zawarte — gdy tymczasem jest odwrotnie, ogarniają bowiem świat materialny „z zewnątrz". Ściślejsze jest powiedzenie, że ciało jest „ogarnięte" przez duszę, niż że dusza zawarta jest w ciele. Zresztą w ten mniej więcej sposób wyraża się św. Tomasz. Jakże niezmiernie ważne jest uświadomienie sobie, że szukanie myślą Boga nie może być „dziełem abstrakcji, snuciem wątków myślowych, rzekomo tym wznioślejszych im bardziej odległych od konkretnej rzeczywistości", lecz że droga jest odwrotna, ponieważ Bóg jest nieskończenie rzeczywisty i konkretny. Jak budynek jest bardziej rzeczywisty niż wszelkie dwuwymiarowe jego plany, rzuty i przekroje, tak istota duchowa jest bardziej rzeczywista niż materialne sprawy, jakie ogarnia. — Na marginesie: czy nie byłoby pożyteczne, aby ŻYCIE podawało regularnie chociaż sam spis, jeśli nie krótkie streszczenie, artykułów pojawiających się w „Znaku"? Mają wielką wartość, a miesięcznik ten nie rozchodzi się szeroko na emigracji. Specjaliści różnych dziedzin na pewno interesowaliby się poszczególnymi numerami.

2. Dużą radość sprawił mi artykuł o Mariecie Martin. Znam jej rodzinę, pamiętam jej niezwykłą postać, gdy podczas pobytów w Warszawie przychodziła po swą siostrzenicę, Manete Rose, do gimnazjum im. Cecylii Plater-Zyberkówny na Pięknej. Znam dom paryski przy 34 rue de l'Assomption, gdzie spędziła tyle lat swego życia. W mych wspomnieniach z warszawskich lat dziecinnych nie mogę doszukać się eleganckich, światowych i wykształconych kobiet, które by jednocześnie były prawdziwie i głęboko praktykującymi katoliczkami. Może dlatego tym silniej zapamiętałam panią Lucię, czyli Adamową Rose i jej paryską siostrę Mariettę, że w znajomym mi gronie były wyjątkami. Pobożność bowiem kojarzyła mi się niezmiennie albo z zacofaniem, albo w każdym razie ze specyficznie bezszminkowym, nauczycielskim wyglądem zewnętrznym. Jest wielką stratą, że listy Marietty spłonęły w Warszawie wraz z mieszkaniem Adamostwa Rose. W jej obfitej korespondencji listy do siostry stanowiły chyba największą pozycję: pisane były codziennie przez 20 lat.

Dla pełniejszego zrozumienia twórczości ltierackiej Marietty, nieocenioną pomocą jest jej życiorys pióra siostry, Lucie Adam-Rose.

3. Choćby mały wilczek z lasu — jak tego pragnie p. F. Śmieja — już się wyłania, na temat katolicyzmu w Ameryce, bowiem "Znak" umieścił już w grudniu parę moich spostrzeżeń w artykule „Nowojorskie rodaków pogwarki", a w tej chwili spisuję migawki z tej dziedziny, które może przydadzą się ŻYCIU. Nie synteza i nie statystyki, a drobne fakty, jakie polskimi oczyma zobaczyłam w ciągu siedmiu lat w tym ciekawym kraju, którego jestem entuzjastką.

Ewa Gieratowa

WYJAZDY DO KRAJU I ZGORSZENIE MALUCZKICH

Dyskusja nad wyjazdem do Kraju posunęła się o duży krok naprzód, odkąd p. J. B. wyjaśnił, że jego własne listopadowe słowa: „tylko i wyłącznie protest" należy czytać jako: „praca publicystyczna, wydawnicza itp., jak w ogóle udział w życiu społecznym". Cenne to wyjaśnienie, bo protest ma własną bezkompromisową, negatywną logikę, a praca i działalność zmierzają do osiągnięcia pozytywnych celów, i rządzą się, w imię skutecznej akcji, całkiem innymi prawami. Skoro więc o pracy mowa, to odpadają wszystkie argumenty p. J. B. posługujące się logiką protestu, np. na temat „bezspornego tytułu emigranta politycznego", a wchodzimy na teren akcji, gdzie szukamy najskuteczniejszych dróg do celu. Na tym terenie, wartość pewnych „niezłomnych" form działania, albo nie-działania, zależy tylko od tego, czy są naprawdę przydatne, a nie od tego, czy najlepiej wyrażają bohaterską pozę i nieprzejednaną opozycję. „Niezłomność" może być atutem, a może też być kulą u nogi — zależnie od sytuacji.

P. J. B. definiuje politykę jako „dochodzenie wszelkimi sposobami słuszności własnej sprawy". Bardzo to polskie: i te „wszelkie sposoby" i to przekonanie, że własna sprawa jest zupełnie słuszna (a więc cudza zupełnie łajdacka), i ta wiara, że zachodzące przemiany nic tu nie znaczą. Jakie niehistoryczne myślenie! Godne Burbonów, wracających na chwiejny tron po Waterloo, tylko na to, żeby go znów utracić po piętnastu latach, tym razem nieodwołalnie. I jakie to sprzeczne z duchem tomizmu. Dla tomitsy, dyskutującego o polityce, ważniejsze jest dobro ogółu niż prawowanie się o słuszność jednego obozu, a w selekcji środków nie kieruje się on chęcią pognębienia przeciwnika wszelkimi środkami, lecz etyką, celowością i zasadą mniejszego zła. Jeśli dla p. J. B. cele w polityce nie zmieniają się nigdy, jeśli nieodwracalne zmiany nie istnieją, to Bourbonowie są prawowitymi monarchami Francji, a Habsburgowie Austrii i Węgier (i Galicji?). O ile mądrzejsze jest stanowisko Kościoła, który godzi się z czasem ze skutkami tylu zmian, choć przeprowadzonych w sposób bezprawny! Kiedy Papież uznał Republikę Francuską, monarchistyczne dewotki mówiły, że opętał go diabeł...

Niech p. J. B. przestudiuje programy partii politycznych w jakimkolwiek normalnym państwie na przestrzeni ostatnich stu lat, i przekona się, czy „cele... stałe, jasno określone, niezmienne są motywami działania politycznego". Jeśli zaś taka Labour Party ma od początku ten sam ultra-socjalistyczny program, to jest rzeczą notorycznie znaną, że nigdy z nim nie występuje do wyborów, idąc do urn za każdym razem pod hasłem realizacji tej czy innej cząstki całego wymarzonego systemu. Dlatego w Anglii demokracja to coś więcej niż polskie sejmikowanie. Na danym etapie realizuje się ograniczone cele i lepiej się na tym wychodzi niż na teoretycznym maksymalizmie.

Kiedyś prawa feudalnych baronów były słuszne, potem prawa królów z Bożej łaski, potem „święty egoizm narodowy" rozpalał umysły i konkurował z różnymi postaciami „woli ludu" — a jutro? P. J. B. nie ma co do tego wątpliwości: ustawił ciężką artylerię siedmiu sformułowanych przez siebie ideałów emigracyjnych i zieje świętym ogniem. Ale nawet te salwy nie zagłuszą brzęczenia maleńkich wątpliwości: np. czy p. J. B. nie może wracać do Kraju inaczej niż na wszystkich siedmiu działach naraz? Gdyby tak Polska uzyskała swobody demokratyczne na obecnym terytorium, bez Ziem Wschodnich (wbrew trzeciemu postulatowi p. J. B.), czy wyjazd do Kraju byłby nadal kapitulacją w jego oczach?

Ale przecież nie dyskutowaliśmy o podstawowych zasadach niepodległości, co do których jesteśmy na ogół zgodni, lecz o związku między tymi zasadami, a wizytami w Kraju. Na pierwszy rzut oka teza p. J. B., że spędzenie wakacji gdziekolwiek na świecie jest „walką o konkretne cele narodu", natomiast urlop w Zakopanem to grzebanie sprawy polskiej, jest grubym paradoksem, równie chwiejnym jak ten tron Bourbonów. Na p. J. B. spoczywa więc cały ciężar dostarczenia odpowiednio solidnych argumentów, aby go odeprzeć. Nie wystarczy ciężka artyleria owych siedmiu aksjomatów; aby ogień był celny, trzeba zakaz wyjazdów do Kraju przedstawić jako logiczny wniosek z tych pewników wysnuty. Obawiam się, że właśnie ten związek między przesłankami a konkluzją nadal u p. J. B. szwankuje.

Co nowego wnosi ostatnia wypowiedź p. J. B. pod powyższym względem?

Najpierw, p. J. B. już ostatecznie wyrzeka się częstego „niezłomnego" argumentu, że wszelki kontakt z władzami polskimi jest trefny — przeciwnie, sam podkreśla, że dopuszcza go dla ważnych przyczyn. Zgoda.

Dochodzimy do głównego punktu argumentacji p. J. B., którym jest wprowadzenie nowej terminologii. Emigrantem politycznym jest mianowicie tylko ten, który opuścił Kraj, aby w a l c z y ć o cele narodowe. Nie wystarcza ani sama ucieczka przed prześladowaniem, ani niechęć do życia w ustroju, który mi nie odpowiada, ani zamiar powrotu na stałe, kiedy ustrój się zmieni, ani wiara, że taka zmiana nastąpi. Te wszystkie motywy starczą zaledwie, aby zwać się „emigrantem z przypadku", natomiast cechą wyróżniającą emigranta politycznego, jest działalność polityczna, względnie akcja publicystyczna, wydawnicza i społeczna o zabarwieniu politycznym.

Wolno każdemu zdefiniować swoją własną terminologię, ale warto też przyjrzeć się faktom, do których ta nomenklatura ma się odnosić. Ilu emigrantów odpowiada wygórowanym wymogom tej nowej klasyfikacji? Obawiam się, że znaczna większość to „emigranci z przypadku", a nie polityczni. Po drugie, p. J. B., ze wspaniałą pewnością siebie, wzrusza ramionami nad tą bolesną rozterką i wahaniem: wracać czy nie wracać, które są zasadniczą częścią doli emigranta. Dla niektórych z nas sprawa powrotu jest sprawą sumienia — są ludzie, którzy czują obowiązek powrotu do Kraju (i wychowania tam, a nie na obczyźnie, swych dzieci) nie dopiero po absolutnym spełnieniu wszystkich politycznych wymagań, ale gdy zaistnieją warunki, w których mogliby być naprawdę pożyteczni dla Polski — tej nad Wisłą. Stąd nasłuchiwanie, szukanie pełnego obrazu sytuacji, wrażeń z pierwszej ręki. Łatwo p. J. B. ośmieszać te wewnętrzne zmagania jako „rodzaj Gallupa". Szczęśliwi ludzie, którym się wydaje, że wszystko jest proste, czarne albo białe! Te sprawy potrzebują wiele taktu, zrozumienia i obiektywizmu, a nie gromkich okrzyków „kupą, Mości Panowie, przy ogniu świętej sprawy!" Zastanawianie się nad powrotem, wizytą w Kraju, która może dostarczyć elementów decyzji, to nie wątpienie o wszelkich zasadach, lecz najwyżej wątpienie o celowości własnego indywidualnego pobytu na emigracji, a to dwie bardzo różne rzeczy. Wśród „turystów" są tacy, którzy nie tak łatwo uzyskują pewność jak p. J. B., i szukają skomplikowanej prawdy, nawet za cenę bolesnych przeżyć. Jeśli p. J. B. tej postawy nie rozumie, to mógłby się przynajmniej wstrzymać od rzucania gromów. Co do pozostałych „turystów", gromy też są nie na miejscu: mało kto traci honor emigranta politycznego przy wyjeździe do Polski, bo według klasyfikacji p. J. B. mało kto go posiada nawet i przed wyjazdem.

Żeby to p. J. B. był przynajmniej konsekwetny w swojej klasyfikacji! Ale, zgodziwszy się ze mną, że motywem powtórnego opuszczenia Kraju po wakacjach może być nie tylko niska stopa życiowa, ale i niski poziom swobód i brak zaufania do systemu, najpierw określa te wszystkie motywy mianem „wygody", a potem, pod koniec artykułu, zmienia „emigrację dla wygody" na „emigrację zarobkową". Bardzo prosty błąd logiczny: pragnienie demokratycznych swobód to „wygoda", pęd do wyższych zarobków, to też „wygoda", e r g o pragnienie wolności to nic innego jak szukanie wyższej stopy życiowej, czyli emigracja zarobkowa. Wszyscy emigranci to ludzie, wszyscy komuniści to też ludzie, e r g o...

Jest jeszcze u p. J. B. kilka innych pogardliwych kategorii. Najpierw „intruz", tj. emigrant z wizytą w Kraju, który musiałby „nie wypowiadać jawnie swych sądów, słowem zachowywać się... jak jaki intruz." A mnie się zdaje, że musiałby się zachowywać podobnie jak 28 milionów stałych mieszkańców Polski. A już sugerowanie, że w Polsce nikt nie wypowiada tego, co myśli, na ulicy czy w pociągu, świadczy o słabej znajomości stosunków.

Emigrant, wracający z wakacji w Polsce, to „emigrant koncesjonowany przez reżym". Prawda, jest to jedna z anomalii dzisiejszej sytuacji, ale niekonsekwencja leży bardziej w postępowaniu władz, niż tych turystów, którzy z sytuacji korzystają. Atakowany przez p. J. B. Bolesław Taborski miał odwagę stwierdzić w czasie pobytu w Polsce, że nie przyjechał składać deklaracji wiernopoddańczości i nie po „koncesje" większość turystów do Polski się udaje.

Dalszy argument p. J. B., to „mandat zlecony nam przez naród". Ten mandat widocznie nie dotyczy powstrzymywania się od wyjazdów, skoro ci sami, którzy go rzekomo zlecili, tak gorąco nas zapraszają w odwiedziny. Ten mandat chyba nie usprawiedliwia sztywnych poglądów à la p. J. B., skoro większość

Polaków z Kraju, odwiedzających Wielką Brytanię, jest, łagodnie mówiąc, niemile zaskoczona zarówno tymiż poglądami, jak i całą mentalnością, z której się wywodzą. Ten mandat, w ujęciu p. J. B., to może jeszcze jeden frazes, unikający konfrontacji z faktami?

Szkoda, że dopiero ostatni argument p. J. B. znajduje się na właściwym gruncie, tj. celowości a nie legalizmu: obawia się On, że swobodna turystyka po Kraju wywrze fatalne wrażenie na Zachodzie, i będzie uznana za plebiscyt na korzyść istniejącego systemu. I tu jednak pokutuje legalizm: przypuszcza się, że anglosaska mentalność, tak jak emigracyjna, przywiązuje nadmierne znaczenie do gestów. Anglosasi to ludzie praktyczni, i fakt powrotu na emigrację, po wyjeździe do Kraju i rozejrzeniu się w stosunkach, ma dla nich pierwszorzędne znaczenie, tak samo jak relacje naocznego świadka zyskują niewspółmiernie większy ciężar gatunkowy. I odwrotnie, uparte trzymanie się z daleka jest w angielskich oczach dowodem zacietrzewienia, nie zasługującego na posłuch. Nie chciałbym być w skórze p. J. B., kiedy będzie się starał przekonać Anglika jak w Polsce jest źle, a nagle okaże się, że właśnie ten Anglik niedawno był w Kraju, i że kwestionuje co drugie twierdzenie swego rozmówcy! W dyskusjach w środowisku uniwersyteckim wciąż spotyka się studentów, Anglików i kolorowych, którzy byli w Warszawie, Pradze i Moskwie, i nie dadzą się oni przekonać takimi „faktami", cytowanymi przez p. J. B., jak ten, że turysta w Polsce musi „zamknąć usta i przymknąć oczy", albo że w obecnej chwili półtora miliona Polaków znajduje się w łagrach i więzieniach sowieckich. Mocarstwa zachodnie musiałyby być jeszcze krótkowzroczniejsze niż są, gdyby swoje poglądy na sprawę polską czerpały ze środowiska uparcie trzymającego się z daleka od rzeczywistości krajowej. Przez zwalczanie wyjazdów do Kraju, „niezłomni" osłabiają swoje szanse wpływania i na Zachód i na Polskę. Na gruncie praktycznym nie można skutecznie dążyć do czegokolwiek w przyszłości przez odsuwanie się od teraźniejszości, bo przyszłość będzie zależała od tego, co się teraz dzieje.

Sądzę, że zanalizowane powyżej argumenty p. J. B. nie są dość mocne, aby uzasadnić jego tezę, i że niezbędnym wstępem do tej tezy jest wyrażony kiedy indziej pogląd p. J. B. o słuszności tworzenia emigracyjnego getta jako prawieże trzeciej narodowości między krajem pochodzenia i zamieszkania (patrz ŻYCIE, kwiecień 1958). Przykład Francuzów w Kanadzie, którzy stali się taką trzecią narodowością, jest odstraszający: ich wpływ na losy i kulturę Francji pozostał prawie żaden. Gloryfikację odrębności emigracyjnej posuwa p. J. B. tak daleko, że sprawy wychodźcze — jakże często fikcyjne — stają się dla Niego „realne i sprawdzalne", a bezpośredni kontakt z życiem Kraju nazywa „niesprawdzalną fikcją". Zdaje się, że najgorsze w oczach p. J. B. jest to, że są to kontakty i n d y w i d u a l n e. Wiadomo, wyłamywanie się spod kontroli uznanych autorytetów emigracyjnych jest działaniem przeciw narodowi. Niektórzy sądzą, iż lepiej, aby ludzie „przesadzali w dobrym", niż żeby myśleli samodzielnie i naocznie sprawdzali fakty, dotąd przyjmowane na wiarę.

Wielu rzeczy, nieszkodliwych samych w sobie, trzeba podobno unikać, aby nie gorszyć maluczkich. Strach przed złym przykładem jest też jednym z powodów opozycji przeciw wizytom w Kraju, bo gdy „inteligencja" zacznie jeździć, to „maluczcy" pomyślą, że jeździ się na, to, aby „jadać z menażki wroga". Czy nie lepiej wytłumaczyć tym maluczkim (czytelnikom ŻYCIA??), jak sprawy stoją, i uniknąć niepotrzebnego zgorszenia i niepotrzebnych ograniczeń? Czy nie lepiej uznać, że sytuacja w Polsce jest bardziej skomplikowana niż niezłomne kategorie? Weźmy te gromy rzucane na Bolesława Taborskiego za niekonwencjonalne naświetlenie stosunku Kościoła i Państwa w Polsce. Co zrobiłby Anglik w tym wypadku? Zapewne spytałby się Taborskiego, czy zdaje sobie sprawę, że oprócz wybijania szyb ateistom po prowincji, istnieją poważniejsze fakty bezprawia w stosunku do Kościoła — bezprawne zatrzymanie wielu budynków klasztornych z murami, szybami, i wszystkim innym; niezwrócenie Caritasu, itd., itd. I w ten sposób Anglik starałby się uzyskać zrównoważony obraz sytuacji, w którym Kościół jest wciąż stroną dużo bardziej poszkodowaną. Natomiast polskie podejście jest apodyktyczne: potępić wszystko, co kto niewygodnego powiedział. A przecież, znając krewkość Polaków — obserwując ją nadal w warunkach emigracyjnych — można łatwo uwierzyć w te fakty, które Taborski przytoczył, a które potwierdzają się z innych źródeł.

Na krótką metę łatwiejsza jest propaganda uproszczona. Na długą metę lepiej jest polegać nie na getcie pełnym jednakowo myślących „maluczkich", łatwowiernych wobec swych leaderów, ale na rozsądku dojrzałych ludzi, wolnych nie tylko od zewnętrznych przymusów, ale także i od wewnętrznych uprzedzeń, ignorancji i polemicznych uproszczeń. Sprawa wyjazdów do Kraju jest częścią szerszego zagadnienia: jakiego rodzaju ludźmi chcemy być. Dlatego warto o tę sprawę kruszyć kopie.

Andrzej Malkiewicz

P.S. Wyrażać wdzięczność Gomułce za amnestiowanie więźniów i korzystać z liberalnego kursu, to według p. J. B. dowód braku zastanowienia. A może właśnie dowód chrześcijańskiego zastanowienia się nad oddaniem każdemu tego, co mu się należy. Wobec faktu, że tylu ludzi wpadło w ręce bezpieki przez lekkomyślność „niezłomnych" emigrantów, odżegnywanie się p. J. B. od wdzięczności za ustanie terroru ma specjalnie przykrą wymowę.

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII Nr 2(563)

L u t y 1 9 5 9 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy
„Veritas", 12 Praed Mews, London, W.2
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00 fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.
Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), **b) w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, **c) we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.
Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £ 1.5.0, dol. 3.00., fr.fr. 1000. Kolor 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., **Vistula (Aust.) Pty Ltd.**, Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia: ks. dr Antoni Łatka,** Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: W. Olszewski,** 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S. et O.) C. C. P. Paris 13512.43. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Vatra Trade,** 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjednoczone: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import**, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 8.00 krs. **Włochy: Antoni Grzybowski,** via Michele Amari 52, Roma.

O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH

(Dokończenie ze str. 23)

Mnie rajskiemu chłopczykowi w niebieskiej bluzce
o nóżkach cieniutkich jak Pana Boga wykałaczki."

(„Rajski chłopczyk")

Mamy tu sporo humoru, dowcipu, autoironii, polotu wyobraźni oraz umiejętności operowania zaskakującym słowem, niespodziewanym skojarzeniem. Ale wszystko to dzieje się w granicach zachwytu literackiego, w granicach prywatnej mitologii Harasymowicza, baśni już nie dziecinnej, ale takiej, którą uprawiają „dorośli" poeci i malarze. W świecie, jaki na ruinach Kraju Łagodności buduje Harasymowicz, nie ma miejsca na prawdę i kłamstwo, zło i dobro, świętość i grzech, wszystko jest do siebie podobne i wymienne; diabły i aniołowie należą do tej samej kategorii pogańskich a swawolnych duszków; wszyscy razem niby jakaś pijana czereda rozbawionych uczestników makabrycznego balu maskowego tańczą dokoła:

„a na brzegu morza
bóg i lucyfer
płoną przywiązani
do pnia
wokół ich głów
dobre i złe
stare pergaminy praw
fruwają zwęglone
jak ogromne nietoperze."

Po lekturze tego rodzaju rzeczy, napisanych bogatym, barwnym i adekwatnym językiem przez utalentowane pióro, człowiek czuje się jak gdyby po parugodzinnym seansie abstrakcyjnych filmów rysunkowych. Mimo całe bogactwo zdobnictwa, misternej ornamentalistyki, zręcznego popisu żonglera i linoskoczka, ten teatr marionetek tchnie jałową nudą pustyni, gdzie myśli głębszej i żywszych uczuć nie znajdziesz ani na lekarstwo. W następnym tomie „Przyjęcie kopii" (Wydawnictwo Literackie, 1958) Harasymowicz jakby się tłumaczy, mówiąc:

„w końcu
w radomskiem
ktoś musiał zbudować
czerwony mur surrealizmu"

— ale wciąż pozostaje pytanie, po co w „radomskiem" wznosić mur surrealizmu, skoro w Paryżu już się on dawno rozsypał? Możliwości jałowej żonglerki słownej są ograniczone. Na dalszą metę stają się nudną nie do zniesienia piłą. Dlatego z tak wielką ulgą czyta się autentyczne westchnienie, jakie wyrwało się temu błaznującemu poecie, który w chwilach wolnych od swoich diabelskich obowiązków medytuje nad życiem innego poety, Apollinaire'a:

„I nad domem mym deszcz jest jak
żal z rozpuszczonym włosem
I żadne już usta na mnie nie czekają
Moje piersi serce ranne na krzyż mi
zabandażować jak czwartakom
Ach czy bronić jeszcze swej zielonej
olszynki nadziei
Rozpaczy jest długi nieprzerwany atak
Dni samotnych wciąż idą gęste tyraliery.")

(„Nad Apollinaire'm")

Na nic teraz zaczarowane zające z kraju łagodności, dekoracje dzieciństwa, tkliwe bajki o ptaszkach i kotach. Trzeba było opuścić te kartonowe szańce. Ale i z „Diabelskiego zamku", w którym zamieszkał, aby mszę czarną przy blasku błyskawic odprawiać, też trzeba będzie się wynieść. Wszelkie błazeństwo ma swój smutny nieraz koniec. Słowami Harasymowicza, którego humor i autoironia ratują przed potępieniem, można by zakończyć te uwagi:

„Niedługo już zniknie z wieży flaga
z kudłatym Harasymowiczuszkiem
księżyc nie będzie się bawił z basztą
w chowanego
runą stropy baśni i przez anioła
Gabryela brani na muszkę
w studnię zieloną zejdą diabły głodne
i biedne i z gorączką do tego".

(Z. Ł.)

KONKURS Z NAGRODAMI
NA PLAKAT
POLSKIEJ GALERII SZTUKI

Informacje

M. B. GRABOWSKI,
175, Draycott Avenue,
LONDON, S.W.3.
tel. KEN 1868

NOWY ADRES INSTYTUTU POLSKIEGO AKCJI KATOLICKIEJ w W. BR.

Od dnia 5 stycznia 1959 r. biuro Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii mieści się pod adresem:

8 Alma Terrace, Allen Street, London, W. 8, England. Telefon: **WEStern 1797.**

Wszelką pocztę do I.P.A.K. należy kierować na ten nowy adres.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.